DWOCH PASTOROW

CZYLI

MIŁOSC BRATERSKA,

DRAMMA

w

PIĘCIU AKTACH

Przez Michała Bończę Tomaszewskiego Napisane.

w WILNIE

w Drukarni XX. Pijarów, Roku 1798.

D o

Jaśnie Wielmożnego Imści Pana

JAKOBA

BUŁHAKOWA

Aktualnego Taynego Konsyliarza, Gubernatora Litewskiego

Y

różnych Orderów Kawalera.

Jaśnie Wielmożny Panie!

DRAMMA które przez dedykacyą poświęcam *Jaśnie Wielmożnemu Panu*, nadspodziewanie

DWOCH PASTOROW

czyli

MIŁOSC BRATERSKA:

OSOBY

Amelia Wdowa po Lordzie Bettford,
Walle Jey ſtryi Biſkup Diecezyi,
Sangloz, Pastor stary.
Sangloz Marszałek Margrabiego brat Pastora,
Karol, kochaiący Ameliq,
Ryszard, Oyciec Karola.
Ludwik Brat młódszy Karola,
Reder Rybak,
Mikołay Syn Rybaka, Kamerdyner Paſtora Walle,
Ruzia Córka Rybaka ſłużąca Lady Amelii,
Kryſtyan ſtaruszek poufały Amelii,
Małgorzata żona Mikołaia,
Karolek Syn Mikołaia pięcio letni,
Xury Murzyn ſłużący Karola,
Łukasz Lokay Pastora Valle,
Jakub Lokay Amelii,
Inſtygator,
Unter-Oficer, i czterech Zołnierzy.

SCENA

w Anglii w nadbrzeżu Morskim.

AKT

AKT PIERWSZY

Teatr okazuie pokoy Lady.

SCENA PIERWSZA

RUZIA JAKOB.

RUZIA.

Moy Jakubie! powiedź mi co ſię to ſtało, że nasza Pani tak prędko, a do tego w tak złym humorze powróciła z Balu?

JAKOB.

Ja W. Pannę w tym obiaśnić niepotrafię.

RUZIA.

To przynaymniey powiedź, kto na tym Balu był więcey z gości?

JA-

JAKOB.

Było więcey Osob czterdziestu; ale cóż, kiedy ia nikogo nie znam, prócz Pastora Sangloz, z którym Lady więcey godziny przed Obiadem chodząc w Ogrodzie rozmawiała, i iak mogłem poznać, że Lady pod czas stołu była w niedobrym humorze, zaraz więc po obiedzie; jak tylko tańce rozpoczęły się wyiechaliśmy.

RUZIA.

Prawda że naszą Pani z natury Tańców nie cierpi; mimo to iednak wesołe Kompanie lubi . . . Musi to bydź iakaś tego przyczyna . . . A gdzież to teraz bieżysz ?

JAKOB.

Jdę kazać Kocz podróżny zakładać; gdyż Pani nie myśli tu nawet nocować, zaraz wyieżdżamy na Prowincią do tych Dóbr, co iey Mąż zapisał.

RUZIA.

Jak

Jak to, ze wszyſtkim wyieżdża?

JAKOB.

Musi bydź ze wszyſtkim, bo kazała w ten moment popakować wszyſtkie sprzęty: Meble, Bibliotekę, nawet Fortepiano zabiera z sobą.

RUZIA.

Przebóg! co ſię to znaczy?... A Pana Kryſtyaną niewidziałeś?

JAKOB.

Lady dała mu iakiś Bilet, i kazała z nim iść do Pana Karola Weſterland.

RUZIA.

Kryſtiana poſłała z Biletem? to znowu coś dziwnego.

JAKOB.

J mnie to zadziwia. Tego człowieka posyłać z Biletem, którego

tak

tak poważa iak Oyca; to coś nadzwyczaynego. . . . . . . Ale ia ſię tu zagadałem, a zapomniałem o tym, że ſię trzeba układać, a ieszcze i moie rzeczy nie popakowane. Daruy mi W. Panna, muszę iść do moich zatrudnień (*odchodzi*)

SCENA

Druga.

RUZIA, potym KRYSTIAN.

RUZIA.

Dla Boga, co ſię to dzieie . . . Co iey tam na tym Balu zrobiono? . . . tak nagły wyiazd . . . . Ta iey niespokoyność, . . . na mnie marsem ſpogląda . . . *W*cale tego domyśleć ſię nie mogę. Jeżeli mi z sobą każe iechać, będę zmartwiona zoſtawuiąc Oyca, który potrzebuie moiey pomocy, a ieżeli zoſtawi, równie będę zmartwioną z utraty

ty tak dobrey Pani. . . Sama niewiem, iak ſobie poſtąpić!

KRYSTIAN *wchodzi*:

Coż to: i W. Panna ieſteś niespokoyną?

R U Z I A.

Ach Mospanie Kryſtian! przynaymniey W. Pan powiedź, iaka to ieſt odmiana w naszym domu?

K R Y S T I A N.

Ja też W. Panny chciałem ſię o to pytać. Masz że W. Panna iaką dyspozycyą do drogi?

R U Z I A.

Zadney. Lady do mnie i ſłowa nie przemowiła, iak przyiechała od Margrabiego: widać to nawet, że ſię na mnie gniewa.

K R Y S T I A N.

Poiąć tego nie mogę, co ſię iey

ſtało. Jak żyię na Swiecie, pierwszy raz ią widzę tak niespokoyną. Wyieżdżaiąc na Bal do Margrabiego, była wcale wesołego humoru; ale z tamtąd powróciwszy, chodzi, iak bez zmysłów, wzdycha, łzy iey w Oczach ſtoią; przyznam ſię W. Pannie, że ta odmiana mocno mnie zadziwia.

RUZIA.

Jakiż to Bilet W. Pan noſiłeś do Pana Karola?

KRYSTIAN.

Ach ten Bilet! *spoſtrzega Amelią:* Ale uspokoy ſię W. Panna, Lady nadchodzi.

SCENA

TRZECIA.

AMELIA, KRISTIAN, RUZIA.

AMELIA *do Ruzi*

Jdź W. Panna do Gabinetu, i bądź przytomna, iak moią Toaletę będą fkładać: tylko proszę pilnować, żeby czego nie zepfuto . . . . Także suknie podróżne nagotować.

RUZIA *z niesmiałością.*

Mościa Dobrodziko: a ia, czy mam fię wybierać do drogi?

AMELIA.

Zoftaniesz fię przy Oycu. Jeft tam ftara Betty, którą odesłałam przyimuiąc W. Pannę, choć głucha, obeydę fię iey ufługami . . . Jdź że iuż, czego ftoisz?

RUZIA *na ftronie.*

Ach! co za wzrok pogardzaiący, *odchodzi.*

AMELIA *na ftronie.*

O Boże! nigdym się tego niespodziewała, ażeby przy moiey ulubioney wolności spotkało mnie takie umartwienie, *głośno*: Krystian, oddałeś Bilet Karolowi?

KRYSTIAN.

Oddałem.

AMELIA.

Gdzieszgo zastałeś?

KRYSTIAN.

Był w swoim Pokoiu, czytał Książkę, a iego Oyciec z Murzynem robili siatkę.

AMELIA.

Cóż mówił po przeczytaniu Biletu?

KRYSTIAN.

Bardzo się zadziwił, że Pani do niego piszesz. Mówił bowiem, iż

iż Pani nigdy tego zwyczaiu niemiałaś. . . Jak go czytał. . . Ach biedny . . . od zmysłów prawie odchodził.

AMELIA *na stronie.*

Tak daleko bydź Hipokrytem, żeby aż od zmysłów odchodzić, co za obłuda! (głośno.) cóż daley było?

KRYSTIAN.

Przyszedł przecie do siebie. . . powtórnie przeczytawszy Bilet opuścił ręce, i rzekł: „ Nigdym się tego niespodziewał „ Pytał się go. stary Westerland, co to znaczy? ale nie mogąc się od niego dowiedzieć, wziął z rąk iego bilet: a przeczytawszy kilka słów mówił „ Nad„toś móy Synu był zaufany obie„tnicom Lady . . . Ale niech cię Bóg „wspiera w twoim umartwieniu Ja „wychodzę, a ty rób, iak ci twóy „rozum dyktuie, póydę teraz do „Miasta; a potym znaydziesz mnie „u naszego przyiaciela Reder, on

„choć ieſt tylko mizernym Rybakiem, nie dałbym iednak iego iednego słowa, za tyſiąc obietnic Panow, bogatych„ To powiedziawszy wziął ſwoią laſkę i kapelusz; i wyszedł.

AMELIA.

O niesprawiedliwy Starcze!.... Ale nie... Ach! gdyby znał przewrótność ſwego Syna, wcaleby inaczey o mnie sądził.

KRYSTIAN.

Po odeyściu Ryszarda: rzekł Pan Karol do Murżyna:„ Xury! „przynieś mi móy Kuferek, dziś powracamy do takiego ſtanu w iakim „byliśmy wtedy, kiedy nasz Okręt „ zoſtał pogrążony w przepaściach „Morſkich.„ Na te słowa Xury ſtanął iak wryty: krzyknął potym przeraźliwym głosem; o Boże co za odmiana!„ Ach Panie! nad kim „nieszczęście raz gorę weźmie, tego iak widzę znaydzie, i na lądzie „nawałność.„ Po tych słowach wy-

niosł z Garderoby mały Kuferek, z którego Pan Karol wyiął Surdut i Kamizelkę.

AMELIA *z podziwieniem*:

Surdut i Kamizelkę?

KRYSTIAN.

Tak iest.

AMELIA.

Musi to bydź te odzienie, w którym był w tedy, kiedym go pierwszy raz obaczyła?

KRYSTIAN.

Musi bydź te same: gdyż kładąc na siebie mówił na pół z płaczem: „To iest tylko moja własność;... W tym tylko byłem odzieniu w tedy, kiedy mi Betty „pokazała te Stancye. Ach!.. dzięki Bogu, żem zostawił ten Surdut i Kamizelkę dla żywszey pamięci tego dnia, w którym Jego „opatrzność przy życiu mnie za-

„chowała„... Lady (mówił daley) „wyraźnie pisze, ażebym zabrał co „iest mego, i natychmiast wyniosł „się z tąd. Jey bydź posłusznym, „iest to prawem dla mnie.

AMELIA.

Co za nierostropność, co za nieuwaga w czytaniu. Ja wyraźnie pisałam, ażeby wszystko zabrał co iest Jego. Cały więc ten porządek, który się znayduie w Jego pokoiu, choć iest odemnie danym, należy iednak do niego.

KRYSTIAN.

Wyiął potym iakąś rzecz z Kantorka, i rzekł:„ To z rąk Lady „dostałem, do Jey własnych rąk i „odniosę: ten zaś cały porządek w „tym pokoiu zastałem, tu go też „zostawiam.„ Wychodząc ze Stancyi obeyrzał się na Portret Pani, który wisi nad stolikiem, ciężko westchnął„... Otoż i klucz od tey Kamienicy, w którey on mieszkał.

AME-

AMELIA *w Passyi.*

Na co go było przyimować, niechby sobie w niey był został.

K R Y S T I A N.

W całe tego nie rozumiem. Nacożeś Pani pisała do niego, ażeby wynosił się z tamtąd.

AMELIA *na stronie.*

Co to, to wielka prawda. Sama nie wiem com w tym razie uczyniła.

KRYSTIAN *na stronie.*

Jakże roztargniona.

AMELIA *na stronie.*

Ach!... iakiż smutek mnie ogarnia.

K R Y S T I A N.

Lady.... masz widzę iakieś zmartwienie. Daruy Pani że się o

to

to pytam: nie miałbym bowiem tey odwagi, gdybym od Niemowlęcego wieku nie wypiastował cię na rękach moich. Ach Lady! nigdy z niczym nietaiłaś się przedemną, zwierzałaś mi się twoich dolegliwości; we wszystkim zasięgałaś moiey rady, uskarżałaś się nawet na swoich Rodziców wtedy: kiedy cię prawie gwałtem wydano za Millorda Bettford. Po śmierci swego Męża, zostawiłaś mnie Kommisarzem w tych Dobrach, które on ci zapisał. Na toś zaś mnie sprowadziła, ażebym patrzał na twoie umartwienie? które mnie, ile wiernego, i kochaiącego cię sługę na wskroś żalem przeymuie. *Ociera oczy.*

AMELIA,

O poczciwy Starcze!

KRYSTIAN,

Przyznam ci się Pani, iż ten tak nagły wyiazd, ta nienawiść okazana temu poczciwemu chłopcu, którego dotąd kochałaś: mocno mię zadziwia.

AME-

AMELIA.

Nienawiść?.... Ach! nie... nigdy go nie będę nienawidzieć.... Zdaie mi ſię iż go bardziey teraz kocham, aniżelim go dawniey kochała.

KRYSTIAN.

Kochasz że go Pani: a na cóż go oddalasz... Jakaż ieſt przyczyna twego z tąd wyiazdu.

AMELIA.

Muszę z tąd wyiechać, muſzę ſię oddalić z tych mieysc, w których utraciłam ulubioną ſpokoyność. Ale choć ſię oddalę, wątpię ażebym ią kiedy odzyſkać mogła.

KRYSTIAN.

Nie powiesz że mi Pani, co cię czyni tak niespokoyną?

AMELIA.

Kochany Kryſtian: nigdym nic

przed tobą nieukrywała; ale teraz... (na stronie) ach! sama siebie wstydzę się.

KRYSTIAN.

Pani mieszasz się,... Łzy ci w Oczach stoią?

AMELIA.

Ach Karol! Ty który pokazywałeś się bydź tak cnotliwym. Ty którego ia przeniosłam nad pierwsze Osoby!.. Ty mnie tak haniebnie zdradzasz?

KRYSTIAN.

Przebóg co ia słyszę! Karol by miał...

AMELIA.

Tak iest kocha podłą Rywalkę: oboie tedy szydzą z moiey łatwowierności, i z tego: że mnie gładko oszukuią.... Lecz niewdzięczny! niech sobie przenosi kogo chce nademnie... Ale na cóż okazywać mi

swo-

ſwoie przywiązanie?... ach!... taki mnie żal ogarnia, że mówić dłużey nie mogę.

KRYSTIAN.

Z podziwienia przyiść do siebię nie mogę... miałaż by to bydź prawda?

AMELIA.

Tak ieſt... tak w ſamey rzeczy...

KRYSTIAN.

Sama żeś to Pani poſtrzegła, czyli kto powiedział?

AMELIA.

Dziś dopiero ſię dowiedziałam o tym.

KRYSTIAN.

Pani!... może to ieſt potwarz.... może złość niegodziwa?

AME-

AMELIA.

Wątpić o tym nie mogę. Ten bowiem co mi to doniosł, iest godzien wiary, a co większa, że on nie ma w tym żadnego interessu, uczynił to, co mu iego powinność kazała.

KRYSTIAN.

Ktoż by to był taki?

AMELIA.

Pastor Sangioz.

KRYSTIAN.

Pastor!... nie mam co przeciw temu mówić. Ależ pomiarkuy się Pani, dopiero się o tym dowiedziałaś, i w tym momęcie nie zastanowiwszy się wyieżdżasz?... zdaie mi się, że to iest trochę zaprędko. Daymy iż to iest prawda; ale czy nie należałożby raczey.... Daruy Lady co powiem wcale nieroztropnie, postępuiesz w tym razie.

Po-

Pozwolisz mi Pani przełożyć sobie niektóre uwagi?

AMELIA.

Kochany Staruszku, mów co ci się podoba! Ach!... twoie napominania, zawsze były roztropnemi; będę się starała i teraz z nich korzystać.

KRYSTIAN.

Kiedy mi pozwalasz Pani, więc bez naymnieyszey boiaźni odkryię ci myśl moią. Zrobiłaś Lady nieumiarkowaną prędkość wtedy, kiedy przy pierwszym poznaniu Westerlanda, bez naymnieyszego przekonania się o Jego stałey Cnocie, ofiarowałaś mu rękę i Serce swoie. Nie ganię ci tego, iż maiąc wzgląd na iego przymioty, powzięłaś ku niemu przywiązanie; ale na cóż było z tym się zaraz oświadczać i aż do wyliczania swoich dochodów rocznych. Nie Milady, wcale było inaczey sobie postąpić, ile znaiąc

się

ſię ieszcze, że w ſwoiey determinacyi nigdy nie ieſteś ſtałą.

AMELIA.

Nie ieſtem ſtałą? zkądże ci to co mówisz?

KRYSTIAN.

O to ztąd; że nie pierwszy Weſterland, któremu Pani ſłowa nie dotrzymuiesz.

AMELIA.

Do prawdy? któż to przecie był tak ſzczęśliwym, któremu ia dawszy ſłowo niedotrzymałam mu iego?

KRYSTIAN.

Słyszałem mówiących: iż Pani weszłaś iuż była w przyiaźń z iakimści Lordem, który zoſtał za to pogardzonym, że iadąc z Panią na Spacer, Konie biczem zaciął. Drugi zaś, miał bydź iakiś bogaty Baron....

AMELIA

Dość. Domyślam się reszty, iest to relacya głuchey moiey Betty. Prawda że ci Jchmość ieden z czułości serca nad biednemi, drugi niepamiętam z czego, podobali mi się; okazywałam dla nich grzeczność, ale żadnemu z nich nie przyrzekłam miłości, prócz iednemu tylko Karolowi Westerland,

KRYSTIAN.

Y w tym bardzoś sobie nierostropnie postąpiła: wstrzymałaś Lady swoie z nim zamęście, aż do Roku, trzeba się więc było wstrzymać z oświadczeniem, a pewnie niedoznawałabyś tego umartwienia, którego teraz doznaiesz.

AMELIA.

Ach wielka prawda.... O! iakże żałuię tego, żeś nie był wtedy przytomnym.

KRYSTIAN.

Lady! i teraz iestem przytomny, a nierównie większy błąd popełniłaś. Nie Lady... przypisz to raczy prędkości, i nieumiarkowaniu twoiemu. Ten tak nagły wyiazd, i twoia dla Karola okazana pogarda, iest zdaie mi się bez żadnego zastanowienia się.

AMELIA *tonem upokorzonym.*

O! Szanowny Starcze! twoie uwagi upokarzaią mnie. Dość iuż, odwołuię móy wyiazd: niech przestaną pakować się!

KRYSTIAN.

Y w tym, okazałabyś niestałość twoią Pani; ponieważ iuż uczyniłaś przygotowanie do podróży, trzeba wyiechać choć na dni kilka.

AMELIA.

Wyiechać?... ach!... a ieżeli Ka-

Karol niewinny?... Jeżeli to ieſt rzę-
czą zmyśloną, mam że go utracić?

KRYSTIAN.

Nie Lady: nie utracisz go, ie-
żeli cię tak kocha ſtale, iak po ſo-
bie pokazuie? Powiedź Lady! iak ten
Bilet był pisanym?

AMELIA.

Równie bez pomiarkowania, iak
i moia prędkość. Teraz dopiero po-
znaię błąd móy... Dałam mu w nim
oſtatnie pożegnanie.

KRYSTIAN.

Jeżeli przyidzie, okaż mu Pa-
ni minę ſtosowną do Biletu, przy-
bierz ſtałość i determinacyą; nawet
ſtaray ſię nie okazać mu ſwego przy-
wiązania.

AMELIA.

Co za rada?... będęż mogła ina-
czey mu ſię pokazać, nie tak, iak
ſerce mi dyktuie?

KRYSTIAN.

Trzeba tego koniecznie, ale ieżelibyś się Lady przekonała że on cię kocha, a kocha nieinteressowanie, powróciłabyś mu pierwszy szacunek?

AMELIA.

Możesz się mnie o to pytać? ale iakże się o tym przekonać?

KRYSTIAN.

Taka iest moia rada; ponieważ nasz wyiazd iest ogłoszony, trzeba wyieżdżać. Karolowi pokaż się Pani, że chcesz o nim zapomnieć, a nareszcie uczyń obietnicę, iż ieżeli będzie szlubował inney, że będziesz na niego pamiętna. przytym, możesz mu przyobiecać dać iaką summę po zlubie.

AMELIA.

Już rozumiem, ieżeli na to zezwoli?..

KRYS-

KRYSTIAN.

Wcale nie.... może ile w tym razie będzie przeciwnym... ale po wyieździe naszym, ieżeli tak iest, iak ci mówiono, łatwo o niey zapomni, a ieżeli inaczey....

AMELIA.

Jakże będę mogła bydź o tym uwiadomioną, ile będąc tak odległą? umyśliłam bowiem iechać, aż na granicę Szkocką, tam, gdzie Pastor Valle moy Wuy ma swoie Beneficium.

KRYSTIAN.

To nic niestanowi, tym lepiey będzie sie można na nim poznać. Ja się tego podeymuię.

AMELIA.

O kochany Krystian! ieśli ci nie powinnam bydź za to obligowaną? mamże dziś koniecznie wyieżdżać?

KRYSTIAN.

Już kocz musi bydź upakowany, niema się czego Pani ociągać... ale otoż i Pan Karol przychodzi.

AMELIA *pomieszana*.

Ach! cóż mu powiem?

KRYSTIAN.

Jakżeś Pani słaba! widocznie pokazuiesz pomieszanie... Ja odchodzę, zostań Pani sama.

AMELIA.

Nie... niechcę, odiadę lepiey niewidząc się z nim.

KRYSTIAN.

Jak się Pani podoba; mamże go z niczym odprawić?

AMELIA.

Powiedź żem wyiechała

KRYS-

KRYSTIAN.

Pomiarkuy się Pani: Poiazd stoi przed gankiem;

AMELIA.

Ach! prawda. Cóż tu począć?

KRYSTIAN.

Uspokoy się Milady, trzeba się z nim koniecznie widzieć, i pokazać to...

AMELIA.

Dość iuż, będę wiedziała, iak mam sobie postąpić.

KRYSTIAN.

Więc ia odchodzę *na stronie*, o Boże przywróć Jey pierwszą spokoyność, *odchodzi*.

SCENA

CZWARTA

Amelia ſama, potym Karol.

AMELIA.

Tak... tak trzeba uczynić, iak Kryſtian radzi... Jeżeli to nie ieſt prawda, co mi Sangloz mówił? ſądziłabym ſię za nayszczęśliwszą; ale ieżeli to ieſt rzecz prawdziwa... ach!... Sama niewiem co ſię zemną ſtanie?... Mamże mu bydź uciążliwą z ſwoią miłością?... nie, wolę uſtąpić, wolę ſama życie pędzić w umartwieniu, a niżeli patrzeć i bydź przyczyną iego nieukontentowania... Bo cóż on winien, że ſerce iego przenioſło kogo innego... o! Boże! ſama ſiebie wſtydzę ſię... o toż i on! *przybiera minę ſpokoyną, i kłania ſię wchodzącemu Karolowi.*

KAROL *kłania ſię: na ſtronie.*

Cóż iey powiem? ach! będeż mógł

mógł znieść ten cios dla mnie tak okrutny?

AMELIA.

Mospanie Westerland! zdaie mi się, iż WPanu w Bilecie dałam dosyć do poznania,... dla czegoż śmiesz tu ieszcze przychodzić?

KAROL.

Prawda Milady, przychodzę więc podziękować za iey łaski dotąd świadczone Oycu memu, i mnie przy nim...

AMELIA.

Ja o tym wcale zapomniałam.

KAROL.

Ale ia... nigdy o tym nie zapomnę. Ten moment, iest mi zawsze w żywey pamięci, kiedy właśnie wykupuiąc Oyca mego z niewoli, wyświadczyłaś mi dobrodzieystwo, lubom go naybardziey

na ów czas potrzebował; wszelako, znośnieyszą byłaby mi niewola, gdzie na Galerze wyrabiać się za dług Oyca: niż znosić teraźnieyszą twoią dla mnie pogardę.

AMELIA.

Mospanie!... przypomniy WPan sobie, że ten Rok miał bydź tak dobrze, iak doświadczeniem WPana, *na stronie:* Ach cóż mówię? iakże zapominam się, *głosno, z roztargnieniem:* Tak iest:... dobrze mówię... doświadczeniem,... wszak że sam zezwoliłeś na to.

KAROL.

Pamiętam i o tym; ale ieżeli mnie chciałaś probować? ieżeliś się Lady chciała przeświadczyć o moiey poczciwości? trzeba było z daleka patrzyć na moie postępki; bo któryżby Łotr?... który nayniegodziwszy, maiąc nadzieię posiadania twoich wdzięków, nie starał się wstrzymać od występku?... ale nie-

ste-

ſtety! ia ſię do żadnego niepoczuwam, a zoſtałem pogardzony! lecz co mówię?... nie Amelio!... nie chcę cię o nic posądzać... musiałaś co we mnie upatrzyć nie zgodnego z twym cnotliwym charakterem? musiałem co wykroczyć, kiedym ci ſię ſtał nienawiſtnym?... Tak ieſt, muszę bydź winnym,... muszę bydź niegodnym ręki ulubioney Amelii, kiedy mnie ona oddala od ſiebie.

AMELIA *na ſtronie.*

Te iego wyrazy, wcale ſię nie zgadzaią z tym, o czym mi Paſtor mówił,... mam że ſię od niego oddalić?... ach nie! nigdy tego nie zniosę,... ale wſtrzymam ſię ieszcze cokolwiek *głosno:* i cóż więc...

K A R O L.

Już ſkończyłem, i nic mi więcey niepozoſtaie, iak tylko oddać ci Lady ten prezent, który z iey własnych rąk odebrałem,... *oddaie Portret,* odbierz go Pani!... odbierz ten

Port-

Portret,... niech twoie wdzięki nie drażnią więcey serca mego, gdyż ono i tak nie będzie miało spoczynku. Odtąd oczy moie nie będą go oglądać, ale tu!... *bierze się za piersi*, tu on iest tak mocno wyryty, że mi go nikt wydrzeć nie potrafi! *stoi zamyślony*.

AMELIA *na stronie*.

Ach! nie zniosę tego dłużey... *bieży do Karola, i wstrzymuie się.* Lecz co czynię?... ach Krystian twoie uwagi... trzeba im bydź posłuszną.

KAROL *na stronie*

Cóżem iey uczynił?... w czym wykroczyłem?... o męczarnia!

AMELIA *na stronie*.

Ach cóżem uczyniła... ale doświadczaymyż go daley... *głosno* Mospanie!... po oddaleniu się moim... dla łatwieyszego o mnie zapomnienia; wynaydź sobie iaką cnotliwą Dziew-

Dziewczynę: choćby nayubóższą, nie troszcz się o nic, WPana losem ią będę się zatrudniać. Zaszlub ią tylko sobie, a bądź pewnym że WPan sam, i Oyciec iego, będziecie mogli żyć dość swobodnie.

KAROL *na stronie.*

Ach! to iest do nieznieśienia, *głośno:* Pani, tym mnie dobiiasz! mógł że bym to serce poświęcać komu innemu, które od dawna iest tobie oddane?... Myślisz więc Lady! że ia o niey tak łatwo zapomnę, iak iey łatwo było mnie wyrzucić z swoiey łaski.... Nie Lady; iestem ubogi, ale stały w przedsięwzięciu... i pierwey mnie grobowa Deska przytłóczy, a niżeli przewiodę na sobie szlubować komu innemu tę wiarę, którą w sercu moim od dawna tobie szlubowałem... Ale cóż ia to mówię?... czego się tak unoszę passyą... daruy Pani!.. daruy obłąkanym zmysłom moim!... *na stronie,* cóż się ze mną dzieie?... Zaczynam czuć pomieszanie... *głośno:* Lady!...

Bądź

Bądź szczęśliwa, bo ia odtąd iuż nim nie ieſtem! *odchodzi raptem.*

SCENA
PIĄTA.

AMELIA KRYSTIAN.

AMELIA *bieży za Karolem.*

Ach Karol! kochany Karol!...

KRYSTIAN *wybiega z za Kuliſy i wſtrzymuie ią.*

Wſtrzymay ſię Pani, co chceſz czynić ?

AMELIA *w naywiększey nieſpokoyności.*

...

Tyś to Kryſtian?... idź!... powiedź Karolowi! Ach nie! ſama poydę... zdrayca ten,!.. wszyſtko faisz co mi o nim mowił!

KRYS-

KRYSTIAN.

Może to bydź, ależ Lady ſtaray ſię utrzymać ſwoią powagę.

AMELIA.

Powagę!... Czyż przez tę śmieszną chimerę uroioną w głowach ludzkich, mam bydź Tyranką ſamey ſobie, i kochanemu Karolowi?... nie... póydę za nim!...

KRYSTIAN.

Wſtrzymay ſię Pani,... wſtrzymay tę popędliwość; a uważ co czyniſz.

AMELIA.

Niech będzie co chce, iuż nię poiadę.

KRYSTIAN.

Nie można, obacz Pani, co ſtoi ludzi koło kocza; iuż prawie połowa Miaſta wie o iey wyieździe. Cóżby na to powiedziano?

AME-

AMELIA.

Mamże go porzucić?

KRYSTIAN.

Jeżeli ieſteś przekonaną, że ci Paſtor Sangloz fałsz powiedział, więc do twoiey to Milady woli będzie należało, otrzymać go ſobie. Jeżeli tedy masz wolę mieć go ſwoim Mężem, możesz go poszlubić w ſwoich Dobrach; gdyż tu iaśnie ſię pokazuie zazdrość, lub nienawiść!...

AMELIA.

Poznaię że to ieſt prawda, zaczynam bydź ſpokoynieyszą; wyieżdżam więc tego momentu, i dziś będę nocować u Milady Burgos, o dwie mile ztąd; iutro wszyſtkie rzeczy wyszlesz proſto gościńcem, a ſam ſię zoſtaniesz na parę dni, opowiesz całą rzecz Karolowi, iak go ten zapał ominie; a ieżeli ſię da nakłonić do wyiazdu, weź go z ſobą, zabierz i Oyca iego; nie będę

go

go dłużey martwić, i tam w przytomności mego Wuia zaſzlubię go ſobie, a w tedy będę zupełnie ſzczęśliwą... *odchodzi.*

KRYSTIAN ſam.

O byś nią zawsze bydź mogła! Jak ieſt dobra Pani: tę tylko ma wadę, że ieſt prędka i łatwo wierna; ale Karol miałżeby bydź tak zmiennym i nie czułym,... nie, w cale temu nie wierzę... Czegoż by mu więcey potrzeba było do zupełnego uszczęśliwienia, maiąc żonę tak piekną, cnotliwą i bogatą! to nie podobna nigdy do prawdy, ażeby on kogo innego miał bardziey kochać od Amelii.

SCENA

Szósta.

KRYSTIAN, PASTOR SAN:, MARSZAŁEK SAN:

PASTOR.

O kłaniam kochany ſtaruszku! dokąd ſię to wybieracie?

KRYSTIAN.

W podróż Mości Dobrodzieiu; aż na granicę Szkocką.

PASTOR.

Aż na granicę Szkocką!... A czemuż mi o tym nic Lady nie wſpominała dziś rano?

KRYSTIAN.

Bo podobno ſama o tym niewiedziała.

PASTOR.

Jakaż tego przyczyna?

KRYSTIAN.

Relacya WPana względem Pana Karola.

PAS-

PASTOR.

A iego bierze z sobą?

KRYSTIAN.

Nic tego nie wiem.

PASTOR.

Co za odmiana? wcale się tego nie spodziewałem. Ale iak się z emną obaczy, to może się ieszcze odmienić.

KRYSTIAN.

Wątpię bardzo o tym.

PASTOR.

Czy iest u siebie?

KRYSTIAN.

Jest, ale wizyty żadney nie przyimuie.

PAS-

PASTOR.

Powiedź WPan tylko, że ia przyszedłem z JPanem Marszałkiem Jaśnie Wielmożnego Margrabiego; który zdziwony, i nie ukontentowany, tak nagłym odiazdem Milady Bettford z dzisieyszego Balu, przysyła tu Jegomości w osobie swoiey, ażeby Jmość przeprosił, ieżeli w czym...

KRYSTIAN.

Potrafię to moiey Pani powiedzieć, *odchodzi*.

MARSZAŁEK.

Powiedź mi móy Braciszku; co to ten staruszek mówił o relacyi WPana?

PASTOR.

Ach Mospanie! Dziwno mi bardzo, że WPan iesteś Marszałkiem u Margrabiego, a o niczym nie wiesz.

MAR-

MARSZAŁEK.

Móy Pan z niczym się przedemną nie zwierza, choć ma dość wiernego zemnie sługę. Ale spodziewam się, że mnie braciszek obiaśni, i razem powie, co to za Plantę ułożyłeś w swoiey głowie?

PASTOR.

Trzeba WPanu wiedzieć, że Margrabia rozkochał się w Milady Bettford.

MARSZAŁEK.

Co o tym to wiem dawno, ale mówiąc prawdę, nie tak w osobie, iak w maiątku który ona posiada, bo swóy iuż bardzo dawno przemarnował.

PASTOR.

Mów WPan ciszey, żeby czasem nas kto niewysłuchał. Ale niech i tak będzie, iak WPan mówisz, lepiey by było iednak, ażeby Lady została Margrabinią, a niżeli Panią

Westerlandową; a ieszcze do tego Synową iednego Bankruta, dla tego, że iego Syn nauczył Papugę dobrze słów wymawiać.

MARSZAŁEK.

Więc WPan iesteś użytym do tego interessu.

PASTOR.

Tak iest: obiecał mi Margrabia darować swóy Dworek, który ma na Przedmieściu z Ogrodem, i ze wszystkiemi przyległościami. Nadto opłacić pewną summę.

MARSZAŁEK.

Spodziewasz że się WPan, że ten Jnteress dobrze póydzie?

PASTOR.

Ja co tylko przedsięwziąłem, zawsze musiałem dokazać.

MAR-

MARSZAŁEK.

Day to Boże! przynaymniey po Ożenieniu się Jego możebym dostał swoią pensyą; bo też to piąty rok, iak iestem nie płatny.

PASTOR.

A dla tego więcey tysiąca Dukatów w roku przeszłym oddałeś na procęt; nie prawdaż to, hę?..,

MARSZAŁEK.

Daymy lepiey pokoy, i nie wspominaymy o tym, niech to będzie między nami. Lepiey WPan powiedź, iak się WPan mogłeś podiąć tego Jnteressu. Bo chcąc wzniecić w Milady przywiązanie ku Margrabiemu, trzeba iey pierwey wyperswadować miłość tę, którą ma do Westerlanda.

PASTOR.

Podobno że iuż tego dokazałem.

MARSZAŁEK.

A to iakim sposobem?

PASTOR.

Udałem przed nią; iakoby Karol okazywał swoią miłość ku Milady iedynie dla maiątku, a iakoby prawdziwym iego przedmiotem była Ruzia, Rybaka tuteyszego Córka. Tak to misternie potrafiłem ułożyć, że mi zupełnie uwierzyła. O Mospanie do poparcia, choćby nayoczewistszego fałszu i prowadzenia intrygi: dość na tym, kiedy Człowiek ma włos siwy tak, iak ia, i podobną Sukienkę.

MARSZAŁEK.

Winszuię WPanu tak dobrego użycia swoiey starości, i tego Charakteru, który posiadasz. A ieżeli czasem Lady pomimo iego udania, poydzie za Westerlanda?

PASTOR.

Utracę Dworek to prawda, ale dla tego ſpodziewam ſię oberwać dobrą Kwotę.

MARSZAŁEK.

A to za co?

PASTOR.

Niech to tylko między nami będzie do iakiego czasu, a uwiadomię WPana o wszyſtkim. Ja mam ſwego Korrespondenta w Bremie... tam, gdzie Ryſzard Weſterland Oyciec Karola był Kupcem. Za przybyciem tych Bankrutów, gdy ta dziwaczka uniesiona iakąś litością naięła im tę Kamienicę, w ktorey drugi iego Syn Ludwik mieszkał: znieść tego nie mogłem, iako dobry Paſterz powierzoney mi Owczarni, że cudze Kozły na Gruntach moich żywią ſię, to ieſt: że te pieniądze, które mogłyby bydź użyte na uczynek miłoſierny przy moim

Koś-

Kościele ; są marnotrawione przez Milady na tych włocęgów.

MARSZAŁEK.

Myśl ſprawiedliwa, cóż daley?

PASTOR.

Pisałem tedy do Bremu, wywiaduiąc ſię, o konduicie tych Ludzi, gdyż inaczey nie mogłem wynaleść ſposobu, wyrugowania ich z łaſki u tey bogatey Milady. Na to mi odpisano: że Weſterland choć Bankrut, ale ieſt człowiek poczciwy. Mimo tego zadłużył ſię memu przyiacielowi, do trzech tyſięcy Talarów; ten widząc że niema co z niego wziąść, nie chciał go więzić, i przyobiecał mu czekać, aż pókiby ſię nie dorobił maiątku; ale iednak bardziey tę ſummę miał za przepadłą. Ja widząc że mi ſię iedno nie udało, uderzyłem w drugą ſtronę: zaſłałem więc tyſiąc Talarów memu Przyiacielowi, opłacaiąc dług Weſterlanda. Ten biedny Kupiec

(któ-

(któremu Westerland był dłużny:) Z wielką ochotą przyiął pieniądze, i wszystkie iego Wexle przesłał do mnie..,

MARSZAŁEK.

Co zaś?... WPan zapłaciłeś dług za niego?

PASTOR.

Nie tylko za niego, ale nawet za iego Syna Ludwika, który z tego Miasta uciekł, narobiwszy długów.

MARSZAŁEK.

Jakiż WPana zamiar był, wypłacać tak wielką summę?

PASTOR.

Zamiar móy iest bardzo sprawiedliwy. Gdyż ia popłaciłem tylko w trzeciey części, a pobrałem Obligi i Wlewki do poszukiwania całkowitey summy. Ryszarda tedy Wexle są Jmieniem moim zapro-

proteſtowane w Bremie: i iuż mam Dekret na niego.

MARSZAŁEK.

A z kąd że on odda, kiedy ieſt tak ubogi?

PASTOR.

O Mospanie! a od czego głowa? Ja wszyſtkie rzeczy robię na dobrym fundamencie. Uważ WPan, ieżeli Lady póydzie za Margrabiego; będę miał nie tylko ſummę zwroconą od niego, ale i Dworek iakom WPanu powiedział. A ieżeli uprze ſię, i poydzie za Karola? Tak zaraz po Szlubie ſtarego Weſterlandą zapakuię do Kozy; a na Ludwiku Dekret otrzymam, i będę publikował w Gazetach, ażeby go chwytano... Czyżby Lady mogła to znieść, żeby iey Męża Oyciec robił w kaydanach, i żeby Jmie Westerlanda było publikowane po całey Europie? To są kawałki bardzo nie ſmaczne; będzie tedy muſiała mi wſzyſtko zapłacić.

MAR-

MARSZAŁEK.

Bardzo dobrze WPan sobie poradziłeś. A ieżeli Lady ani za tego, ani za owego nie póydzie.

PASTOR.

Ach uchoway Boże! powiesiłbym się z rospaczy.

MARSZAŁEK.

Uspokoy się WPan: ktoś nadchodzi.

SCENA

SIÓDMA.

Ci sami.

KRYSTIAN.

Mości Pastor! Pani moia już iest na wsiadaniu. Panu Marszałkowi niema nic powiedzieć. A WPana pyta się, czy masz do niey szczegulny Jnteress?

PAS-

PASTOR.

Chciałbym, ieśli można, przynaymniey pożegnać się.

MARSZAŁEK.

A ia w cale tu nie mam czego czekać. Mospanie Pastor; cóż mam powiedzieć Panu Margrabiemu.

PASTOR.

Ja się sam z nim obaczę.

MARSZAŁEK *żartuiąc po cichu do Pastora.*

Nasze nadzieie podobno z dymem uleciały...

PASTOR.

Proszę się oto nie turbować.

MARSZAŁEK *głośno.*

Życzę pomyślnego ukończenia, *odchodzi.*

PAS-

PASTOR.

A to mnie Diabli wszyli w kołnierz tego pułgłówka z iego żarcikami.

SCENA

Osma.

AMELIA, PASTOR, KRYSTIAN, RUZIA.

AMELIA.

Wchodzi do podróży ubrana. Ruziu idź, obacz czy poiazd już założony. *Ruzia odchodzi. Do Pastora.* Bardzom iest kontenta Mospanie Pastor, że mu mogę podziękować, za ostrzeżenie dane mi dnia dzisieyszego. *Kłania się w złości.* Uniżenie WPanu dziękuię, oraz żegnam go na zawsze.

PASTOR.

Jak to: Lady nas porzuca? ach

Pani

Pani nie czyń tego. Czyż dla tego; iż ten (który nie wart iey ręki) stał się przeniewiercą, miałabyś stronić od innych, którzy są nie równie godnieysi, i którzyby się sądzili za nayszczęśliwszych posiadaiąc iey cnotę i wdzięki?

KRYSTIAN *na stronie.*

A przy tym maiątek.

AMELIA.

Na próżno mi WPan to namieniasz. Ponieważ Westerland podług WPana relacyi stał mi się wiarołomnym; otoż przysięgam przed Niebem; że kiedy on nie iest, więc żaden nie będzie moim Mężem.

SCENA

Dziewiąta.

AMELIA, PASTOR, KRYSTIAN, KUZIA, JAKOB.

JA-

JAKOB.

Kocz już założony?

AMELIA.

Zegnam tedy WPana.

RUZIA *z płaczem.*

Pani, nas porzuca... O dobra Pani! przyimiy to pożegnanie od służącey, która cię bardziey nad życie kocha!

AMELIA.

Bądź zdrowa kochana Ruziu! *spogląda na Pastora.* Bądź szczęśliwsza odemnie! staray się prędzey wyiść za Mąż, a bądź pewna moiey pomocy. Ja zawsze twoim losem chce się zatrudnić.

RUZIA.

Ach kochana Pani. *Amelia odchodzi spóyrzawszy na Pastora z po-*

gar-

gardą: Kryſtian, Ruzia, Jakob wychodzą za nią.

PASTOR ſam.

A to iak widzę pierwsza Kobieta na Swiecie. Ja myślałem, że ona podług zwyczaiu Kobiecego swoią Rywalkę znienawiedzi, a ta iey ofiaruie ſwoią pomoc... Ale ia co zrobiłem.. Co za fatalny kazus... Ktoby ſię mógł tego ſpodziewać... Ha wściekłość mnie bierze... co teraz pocznę?... Utopiłem więcey połtora tyſiąca Talarów, a Diabli wiedzą na co... *myśli* Tak póydę, i tego nie godziwego Starca każe zabić w Kaydany... Ale nie! trzeba ſię lepięy wywiedzieć, może czasem Karol z nią poiedzie, i tam Szlub z ſobą wezmą... Dałby to Bóg! tobym przynaymniey ſwego nie ſtracił. Ale ieżeli rzecz inaczey póydzie, to wprzódy tego Starca zgnoię w Kaydanach, a potym ſam ſię powieszę.

Koniec Aktu pierwszego.

AKT DRUGI

Teatr okazuie nadbrzeże, z prawey strony stoi Dom Lady z gankiem przed Galeryą; z lewey Dom Karola, w tyle Dom Rybaka.

SCENA PIERWSZA.

RUZIA sama.

Im więcey zastanawiam się nad dzisieyszym zdarzeniem, tym bardziey z podziwienia wyiść nie mogę, nad tylu odmianami. Ale biedny Karol! w co on się obróci? iak on ią żałuie. Lecz któżby nie żałował tey, która tchnęła samo do-

bro-

brocią... Przyiść do siebie, nie mogę

SCENA

Druga.

RUZIA XURY.

XURY.

Wychodzi z Chałupy Rybaka z Maczugą i łukiem w ręku, na plecach Sahaydak ze Strzałami. Kazał mi iść precz, ażeby sam bardziey mógł się zanurzyć w żalu. Niech że więc sobie płacze, ia nie iestem w stanie wyperswadowania mu tego. O móy Boże! iakże ci, którzy nas uczą znosić cierpliwie, każde umartwienie, sami na naymnieyszą odmianę swego szczęścia, zaczynaią rospaczać... Móy Pan dawniey będąc bogatym uczył mnie, ażebym o nic więcey nie dbał, iak tylko o cnotę i Honor... A teraz, sam mniey zważa na Honor,... a żału-ie Bogactw. RU-

RUZIA.

A to co? Gdzieś to się tak uzbroił?

XURY.

Do lasu moia Ruziu, będę strzelał raki.

RUZIA.

Do lasu ze strzałami na Raki? cóś opacznie mówisz.

XURY.

Bo u was tu wszystko na wspak idzie; u nas w dzikich lasach, gdzie goręcey doskwiera Słońce, nie myślą inaczey, ani biorą rzeczy, tylko iak się brać daią.

RUZIA.

Ale zkąd żeś to narzędzie śmierci wziął na raki?

XURY.

Alboż to nie miałem czasu, sam sobie zrobić. Moia Ruziu: gdybyś to wiedziała, ile ia łez wylałem na każdą Strzałę przypominaiąc sobie swoią Oyczyznę: Oyca, Matkę moią, przyiacioł... wszystko to mi w oczach stawało. Ach i teraz kiedym się w to ubrał, myślę że się znayduię na naszey ulubioney wyspie.

RUZIA.

Wypuść Strzałę tu na probę. Czy też w co trafisz.

XURY.

Ja żartować nie umiem, a z fałszu nigdy chluby nie szukam: i muszę cię przekonać. Czy widzisz tę parę Gołąbków lecących nad naszemi głowami?... powiedź mi którego chcesz mieć?

RUZIA *usmiechaiąc się.*

O to

O to tego co z tyłu leci: tylko proszę cię nie zabiiay go na śmierć, przebiy mu tylko ſkrzydełko, a niech żywego doſtanę...

X U R Y.

Bardzo dobrze. Choć dawno ſtrzelałem, ale obaczę, może ſie i uda... *wyimuie Strzałę z Sahaydaka i wypuszczá ią z łuku, w tym Gołąbek upada przeszyty Strzałą.* O toż go masz.

R U Z I A.

A!... doprawdyć on upadł.

X U R Y.

Boś tego ſama chciała. Day mi go, niechay ſtrzałę wyimę.

RUZIA *łamie ſtrzałę.*

O ty nie litościwy: zabiiać niewinne ſtworzenie!

XURY.

Co ia ſłyszę? wszak to Ruzia idzie torem Dam wielkich, które płaczą nad rzniętemi Kurczęty, a kiedy przychodzi bliźniemu oſtatnią zedrzeć ſkurę, ſpokoynym ſię bardzo na to przypatruią wzrokiem. Moia Ruziu! przeſtań dziwaczyć, dobroczynna natura utworzyła wſzyſtkie Zwierzęta, dla dogodzenia potrzebie naszey; iedna tylko nędza ludzka powinna cię pobudzić do litości,... i dla tego, idź *do* mego biednego Pana, perswaduy mu, aby ten nie rozpaczał; wszak ten ſam Bóg żyie, który go dotąd zachował przy życiu; Ja mu nic nie mogę mówić, bo mi nawet zakazał wniścia do ſwego pokoiu.

RUZIA.

Wątpię barzo, ażebym mogła tego dokazać. Ale dla wszyſtkiego, póydę; a Oyca mego nie widziałeś?

XU-

XURY.

Nie widziałem i ſzkoda, że nie wiem gdzie on ieſt; bo ten czas co mam na próżno trawić, obróciłbym go na łowienie Ryb. Gdyż prawdę mówiąc, choć mam ſzczęście i zręczność do polowania, iednak wołałbym iemu bydź pomocą. Ale idź iuż proszę cię! iuż i tak długo tu ſię bawiemy

RUZIA.

Czy nie lepiey by było, żebyśmy razem poszli do niego? może by ſię prędzey uspokoił.

XURY.

Tak ieſt: właśnie bym go zoſtawił w tym ſtanie, gdyby mi nie kazał wyiść od ſiebie, i nie powracać, chiba aż na noc do Domu.

RUZIA.

Ja ſię mocno obawiam, aby on ſobie ſmierci nie zadał. Bo to nasi Kawalerowie z utraty Kochanki czę-

częſtokroć ią ſobie zwykli zadawać, a on nie tylko Kochankę utracił, ale i dobrodzieykę, *odchodzi.*

SCENA

Trzecia.

XURY, *potym* REDER.

XURY.

Z utraty Kochanki ſmierć ſobie zadawać,... może tu ſą takie głupcy? ale co móy Pan, to zaręczam, że tego nie zrobi. Wie on, że życie iego ieſt bardzo potrzebne do wyżywienia ſtarego Oyca; wiem że nie zechce go utracić dla iedney Kobiety. *Reder wchodzi.* A otoż i nasz kochany Reder; ale coś i on zdaie ſię bydź pomieszanym... Cóż to ieſt kochany Przyiacielu, co cię pogrąża w tak wielki ſmutek?... pewnie odmiana naszego ſtanu?

RYBAK.

Ach!...

XURY.

No i czegoż wzdychacie tak ciężko? podług mnie to nie wielkie nieszczęście... słuchaycie no Oycze, może ci to iest uprzykrzeniem, że móy Pan i iego Oyciec powrócili do ciebie? ale nie turbuycie się, nie będą wam uciążliwemi. Już ia z łaski twoiey nauczyłem się tak dobrze siecią robić w wodzie, iak niegdyś maczugą w lasach, potrafię tych poczciwych ludzi utrzymać przy życiu, chiba mi iuż sił nie stanie.

RYBAK.

Poczciwy człowieku! w cale mnie nie to dolega, i owszem nie puszczę was od siebie, chiba że twóy Pan sam nie zechce mieszkać, nie zbędzie mi kawałka chleba na ich utrzymanie, spodziewam się, że ty mi go pomożesz zarobić.

XURY.

Dla czegoż nie; obaczysz iak nam

nam Opatrzność przy naszey pracy pobłogosławi. Ale cóż to iest, łzy wam w oczach stoią, to nie iest bez przyczyny.

RUZIA.

Móy kochany! czy znasz ty co to iest miłość Rodzicielska.

XURY.

Powiem ci prawdę, że żadnego Syna nie mąm, to też tego znać nie mogę; ale tak mi się zdaie, że to musi bydź tą sama, co miłość poczciwego Syna ku swoim Rodzicom; oy co tę to dobrze znam, bo nie masz tego dnia, żebym nie zapłakał przypomniawszy sobie swoich ulubionych Rodziców,... ach podobno się z niemi nigdy nie zobaczę!...

RYBAK.

Otoż ieżeli oni żyią, podobnież ubolewaią nad losem twoim, tak: iak ia nad losem mego Mikołaia.

XU-

XURY.

Cóż to; albo to wasz Syn tak, jak ia iest gdzie niewolnikiem? a ieżeli tylko tak, nie iest ieszcze ze wszystkim nieszczęśliwy. Moia niewola iest w tym tylko przykra, że nie mogę bydź w niwczym pomocą moim Rodzicom; a z resztą, Bogu dzięki za wszystko.

RYBAK.

Może i móy Mikołay, ieżeli żyie tak gdzie narzeka.

XURY.

Ale! przypominam sobie... tak iest, wszakże wy spodziewaliście się go temi czasami.

RYBAK.

Już ten Okręt przypłynął, na który on się zaciągnał, ale iego niemasz.

XURY.

A gdzie ſię podział?

RYBAK.

Mówił mi Kapitan Okrętu, że w kilka Niedziel po odbiciu od tuteyszego Portu, bardzo zachorował; zoſtawiono go więc w Szpitalu, który iakiś młody Paſtor wyſtawił między Brytanią i Szkocyą nad brzegiem Morſkim, nie ma to bydź daley ztąd, iak mil 80.

XURY.

Osmdzieſiąt tylko mil? a to może ieszcze przyidzie. Oy gdyby mnie tak bliſko; toby mnie móy Pan ieszcze dziś uwolnił.

RYBAK.

Już temu bliſko lat oſmiu: ach! może iuż umarł.

XU-

XURY.

Więc wasz płacz w cale go nie wskrzesi, a może też ozdrowiał, i poszedł na drugi Okręt służyć. Ot, nie turbuycie się móy Oycze, może go wam Bóg powróci. Ale co ia, to podobno nigdy moich Rodziców nie obaczę. Daymy iuż temu pokoy: opatrzność rządzi każdym człowiekiem, i nie dą mu zaginąć; mówił mi stary Ryszard, iż miał to Bóg kiedyś mówić przez iakiegoś Proroka te słowa:,, Nie widziałem sprawiedliwego opuszczonego: ani nasienie iego żebrzące chleba,,... Więc ty iesteś sprawiedliwy, nie troszcz się! Bóg o twoim nasieniu będzie pamiętał...

RYBAK.

Prosta i poczciwa Duszo! za tę iskierkę nadziei, którąś teraz ożywił serce moie: niech ci Bóg będzie pomocą... Ale proszę cię nie wspominay nic o tym przed Ruzią, boby ona zabiła się z płaczu; bar-

dzo

dzo go kocha... Lecz ten Pan Karol, który cię tyle dobrych rzeczy nauczył; sąm iak uważałem tak ieſt słaby, że nie może się wſtrzymać od żalu.

X U R Y.

Bo podobno łatwiey ieſt uczyć i perswadować, a niżeli ponieść iakie umartwienie... Ale zapomniymy o tym, a weźmy się do pracy. Wybrałem się na polowanie, lecz kiedy się z wami napotkałem, to poydziem lepiey, zarzućmy podwłoczek; a może cokolwiek ułowiemy?

R Y B A K.

Zaraz póydę, tylko pierwey obaczę się z Córką... Czy nie wieſz gdzie ona ieſt teraz?

X U R Y.

Poszła do chałupy; prosiłem iey, ażeby moiego Pana cokolwiek rozerwała, bo ia nic nie mogłem poradzić.

RY-

RYBAK.

Jdź tym czasem móy Xury, naporządź sieci; wraz i ia nadeydę.

XURY.

Dobrze móy Oycze! tylko się nie alteruycie, proszę was! *odchodzi.*

RYBAK sam.

O ty pełen cnoty człowieku! Bóg przy tobie zawsze błogosławi w moim połowie ryb; Sieci iego ręką robione, nigdy na próżno nie wyciągnę... Ruziu!... hey Ruziu!

RUZIA *w chałupie.*

Zaraz móy Oycze!

RYBAK.

Trzeba kazać wieczerzę zgotować....

SCENA

Czwarta.

RYBAK RUZIA.

RYBAK.

No moia kochana Ruziu, rozgość się: i przypomniy sobie dawne gospodarstwo, rosporządź nam wieczerzę; iest tam faska soloney ryby, możesz wziąść ile ci potrzeba; spodziewam się, że iey nam nigdy nie będzie brakowało, gdyż będę miał Czeladnika bardzo dobrego,... a Pan Karol co tam porabia.

RUZIA.

Trochę się uspokoił. Ale nieborak, iak on bardzo płakał.

RYBAK.

J ty z nim: wszak prawda?

RU-

RUZIA.

Prawda że i ia byłam równie zmartwioną, gdyż ia nie wiem co ta Milady miała tak pociągaiącego, że ią koniecznie trzeba było kochać. Przyznam się, że bardzo żałowałam tego mieysca, ale gdym sobie przypomniała, że przez to oddalenie powracam do powinności dla mnie naymilszey, służenia tobie móy Oycze; i bydź podporą twoiey starości, łatwom sobie wyperswadowała

RYBAK.

Kochana Ruziu! ty tylko iesteś iedyną nadzieią moią.

RUZIA.

Nie moy Oycze; wszak i Mikołay kocha cię tak, iak i Ja, więc możesz w nas oboygu pokładać nadzieię: trzeba się go w krótce spodziewać; iuż to ósmy rok, iak służy, zapewnie powróci do nas nie z próżnemi rękami.

RY-

RYBAK *na stronie.*

O Boże!...

R U Z I A.

Cóż to móy Oycze, widzę was zmartwionym?

R Y B A K.

Nie to moie Dziecie,... w cale nie... Zastanawiam się nad biednym stanem tych ludzi.

R U Z I A.

I Ja się nad niemi lituię.

R Y B A K.

No idź że iuż moia Ruziu, czas będzie wieczerzę nastawić.

R U Z I A.

Nim póydę, odbierzcie pierwey te 30. czer: zł: co mi Pani dała od-

odprawuiąc; może wam na co będzie potrzeba? wezcie ich sobie.

R Y B A K.

Nie są mi teraz na nic potrzebne, trzymay ich u siebie.

R U Z I A.

Otoż i Stary Westerland przychodzi nieborak, iak się zmienił!

S C E N A

P I Ą T A.

RYSZARD, RYBAK, RUZIA.

R Y S Z A R D.

O Jstności naywyższa!... o ty sprawczyno wszystkiego dobra... przed którą nic nie masz ukrytego; i która przenikasz nayskrytsze zakątki serc ludzkich... weyrzyi na mnie litościwym okiem twoim, a

ſkroć wątek życia mego, które mi w tym momęcie ieſt nayniéznosnieysze. A ieżeli twoiey wszechmocności podoba ſię przedłużyć ono? poddaię ſię zupełnie twoiey woli, ale proszę cię! doday mi cierpliwości do znieſienia tego ciężaru, który mnie ogarnął.

RYBAK.

Cóż to wam móy Panie? widzę żeście ſię zmartwili. Czyż to nieszczęście ieſt tak wielkie, żeby ſobie aż ſmierci życzyć... Uspokoycie ſię lepiey.. przy tey ſtarości, którą wy poſiadacie, nie trzeba iey ſobie życzyć, gdyż i tak lada momęt ſpodziewać ſię iey potrzeba.

RYSZARD.

O iak te momęta są długie dla Ludzi nie szczęśliwych!

RUZIA *na ſtronie.*

Biedny Staruszek! on bardziey

iest zmartwionym, a niżeli iego Syn.

RYBAK.

Mnie się zdaie, że ten iest nie koniecznie nie szczęśliwym, któremu nie zbywa na nieuchronnych potrzebach. Ze Lady was opuściła, wy móy Panie, mało na tym szkowuiecie, co wasz Syn, to prawda że wiele przez to utracił; ale cóż robić! Ja zaś dam wam w swoiey chałupie kącik nayspokoynieyszy: o utrzymaniu waszego życia; iużeśmy się z Xurym naradzili. Prawda, że się nie będziem mogli dla was zdobyć na takie potrawy, iakieście u Lady iadali; ale za to, kawałek chleba i dzwonko Ryby, zawsze będziemy mieli. A ieżeli mi Bóg pierwey skróci życie, niż wam, to też zostawię was Oycem moich Dzieci, ktorzy tak was będą szanować i słuchać, iak mnie samego. Wszak prawda Ruziu?

RUZIA.

Tak iest móy Oycze.

 RY-

RYSZARD.

O moi przyiaciele! Nie żądałbym większego ſzczęścia nad te, które wy mnie ofiaruiecie. Lecz nieſtety,.,. *na ſtronie*, o Boże co za umartwienie!... *głośno.* Gdzież ieſt móy Syn? co robi?

RYBAK.

Syn wasz, ieſt w moiey chałupie. Może chcecie ſię z nim widzieć.

RYSZARD.

Tak ieſt móy Oycze, chciałem ſię z nim obaczyć i pomówić.

RYBAK.

Więc zaraz przyidzie. Ruziu idź do Pana Karola, i powiedź że Oyciec na niego czeka. *pocichu*, Ale oſtrzeż go o sytuacyi Oyca, niech mu ſię pokaże ſpokoynym; wszak mnie rozumiesz.

RU-

RUZIA.

Bardzo dobrze móy Oycze, *odchodzi.*

RYSZARD.

Móy Przyiacielu! musieliście się dziś widzieć z moim Synem, iak przyszedł od Lady. Co on nieborak mówi, iak myśli nad to swoią odmianą?

RYBAK.

Prawdę mówiąc, ieszcze się z nim nie widziałem. Ale otoż on sam nadchodzi; ia póydę do Xurego, bo on mnie czeka u brzegu. *Do Karola* Miey WPan rozum, a nie zasmucay bardziey swego Oyca tą miną ponura; iuż on i tak dosyć iest zmartwionym, *odchodzi.*

SCENA

Szósta.

RY-

RYSZARD, KAROL.

KAROL *wpatruiąc się w Oyca.*

Oycze!... Dobry Oycze! Czyż dla tey odmiany naszego stanu, masz się tak pogrążać w smutku? ach móy Oycze! nie iestem ia nie szczęśliwy, kiedy mogę bydź podporą twoiey starości.

RYSZARD.

Przerywaiąc na pół z płaczem: Synu móy!... kochany Synu.

KAROL.

Przebóg! co to znaczy?... nad czym tak ubolewasz?... ach móy Oycze! iestem przy zupełnym zdrowiu, mogę pracować, a nie oszczędzę swoich rąk, na utrzymanie ciebie przyzwoite... Niech cię to nie martwi, że Lady nas oddaliła. Już ia iestem wypersawadowany.

RYSZARD *na stronie.*

O Boże!... mamże mu powiedzieć?... ach!...

KAROL.

Oycze móy! kochany Oycze! co znaczy ten twóy nadzwyczayny ſmutek?.. Co znaczą te łzy?

RYSZARD.

Te łzy, które ſię ſączą z zapadłych oczów moich, niech padną na głowę Brata twego!... niech...

KAROL *przelękniony.*

Ach Oycze! co chcesz mówić?

RYSZARD.

Niech. Bóg ſpoyrzawszy z naywyższego Maieſtatu na moie umartwienie, zeszle na niego...

KAROL *pomieszany.*

Błogoſławieńſtwo, i odpuszczenie

nie winy... to mów, tego mu życz... a ieżeli ieszcze ieſt wyſtępnym, niech go Bóg naprowadzi na drogę prawdziwą, niech ſię poprawi!... te ſłowa niechay ſięgaią nayważſzego Maieſtatu!... ale przekleſtwo niechay nigdy z uſt twoich nie wyidzie, u nóg cię twoich o to proszę.

RYSZARD *wzruszony.*

Wſtań iuż... Dziecie cnotliwe!... ach ty nie wiesz co za umartwienie, co za nędza nas czeka, z przyczyny twego wyrodnego Brata.

KAROL.

Niech czeka naygorsze nieſzczęście i nędza, prędzey to zniosę, a niżeli twoie przeklęſtwo; wſzak on ieſt Bratem moim, wszak Synem twoim: ach Oycze! pamiętay na to, iż choćbyś go tyſiąc razy wyklął, dla tego nasza ſytuacya wniwczym ſię nie poprawi.

RY-

RYSZARD.

Dość iuż, dość tego; tą twoią mową wnętrzności mi poruszyłeś, zdaie mi się, że mimo iego niegodnego charakteru, kocham go ia ieszcze. Ale iak się dowiesz o wszystkim, sam go może będziesz przeklinał?

KAROL.

Nie; nigdy tego nie uczynię... Ach mimo iego postępków, kocham go!... O gdybym go mógł poprawionego kiedy widzieć! gdybym go mógł do Łona mego przycisnąć! tak Oycze, naywiększe nieszczęście niczymby mi się zdało.

RYSZARD.

Pódź!... Pódź kochany Karolu, niech cię uscisnę. Twoia cnota zniewala mnie, i przytłumia słuszny gniew ku twemu Bratu, *ściska Karola, potym załamuie ręce nie posiadaiąc się z żalu, pada na kamień.* O Boże doday mi ratunku!

KA-

KAROL *przelękniony*.

O Boże! co to iest? Oycze móy, miey pomiarkowanie! nic że cię poruszyć nie potrafi?... ach przynaymniey powiedź, co się to znaczy?

SCENA

SIÓDMA.

PASTOR, SANGLOZ, RYSZARD, KAROL.

PASTOR.

Nie mogę bydź spokoynym, póki się nie dowiem, czy ona w samey rzeczy rekuzowała mu? ach co za głupiec ze mnie! A... otoż i oni, żeby się o wszystkim wywiedzieć, trzeba postąpić łagodnie... Kłaniam WPanom.

KAROL.

Ach Mości Dobrodzieiu! w porę tu WPan przychodzisz: użyi

Du-

Duchownego posiłku, na odwrócenie rospaczy tego Starca. Jest to móy Oyciec. Dowiedzieć się nawet nie można, co go pogrąża w tak wielki smutek.

PASTOR.

Bardzo dobrze, uczynię to w tym razie, co moia powinność każe. *Bierze za rękę Ryszarda, i przybiera minę hipokryta.* Poczciwy Starcze!... Ten siwy włos, który pokrywa głowę twoią, iest znakiem przeżycia mnogich lat, a zatym; znasz co to iest Swiat, iże na nim nie może bydź nic stałego. Jesteśmy stworzeni do znoszenia wszelkich przykrości,... ale za to, na tamtym Swiecie, o iak wielka szczęśliwość nas czeka!...

RYSZARD *przychodząc do siebie.*

Gdzież to ia iestem? co się zemną dzieie?... Ach WPan to Mospanie Pastor!...

PASTOR.

Tak ieſt: ia to ieſtem. Ale czegoś ſię tak zmartwił móy Oycze?... *na ſtronie.* Dowiąduymy ſię z daleka, *głosno*, a WPan Moſpanie Karolu nie poiechałeś z ſwoią narzeczoną?

KAROL.

Nie, zoſtałem przy Oycu.

RYSZARD.

Alboż Lady iuż wyiechała?

KAROL.

Zaraz po odeyściu twoim móy Oycze.

RYSZARD.

Nieſtety!

PASTOR.

Ale to nie podobno, ażeby ona miała ſwoie ſłowo odmienić; może

WPan

WPanu kazała za sobą przyieżdżać?

KAROL.

Wcale nie, o to ten List nayłepiey go uwiadomi.

PASTOR *bierze List i czyta:*

RYSZARD.

Ach gdym spoyrzał na ten iego siwy włos, na tę sukienkę, iakiś promyk nadziei wstąpił w serce moie! zwierzę się mu wszystkiego, a może mi zaradzi... może pocieszy... bo gdzież szukać pociechy w umartwieniach, ieżeli nie u Ludzi Duchownych.

PASTOR *po przeczytaniu Listu.*

Wcale się tego nie spodziewałem, ażeby ona była tak nie stała. Ale nie wiadomaż iest tego WPanu przyczyna?

KA-

KAROL.

Domyślam się po części.

PASTOR.

Czegoż to przecie?

KAROL.

Nic inszego, iak tylko że Krewni musieli bydź przeciwni iey zamysłom.

PASTOR *na stronie.*

Bogu dzięki! nie wiedzą o niczym.

RYSZARD.

Nie móy Synu, w cale iest insza tego przyczyna.

PASTOR.

Jeszcze insza, a iakażby to była?

RYSZARD.

Zwie-

Zwierzę się WPanu wszystkiego, opowiem całą rzecz, i razem opowiem przyczynę naszego oddalenia. Ach! spodziewam się, że mi WPan cokolwiek w tym zaradzisz.

PASTOR.

Bardzo dobrze;... bardzo chętnie... i dla czegoż bym nie miał zaradzić? *na stronie*, ach gdyby tylko moie pieniądze nie przepadły! *głośno.* No słucham.

RYSZARD.

Gdym począł podupadać w handlu, na poparcie onego, pożyczyłem u mego Przyiaciela, kilka tysięcy Talarów; ale nieszczęście!... i to mi nic nie pomogło... zbankrutowałem do szczętu: pierwsi Kredytorowie rozebrali pozostały móy Maiątek, a temu nic się nie dostało.

PASTOR *na stronie.*

Ach! co słyszę? po iego powieści,

ci, domyslam się, że musi bydź uwiadomiony o moich obrótach. Ale słuchaymy daley... *głośno*, i cóż się przez to stało ?

RYSZARD.

Ten Kupiec widząc, że nie mam sposobu oddania tey summy, przyobiecał mi czekać... Jak się tu dostałem... nie wiem kto, i z iakiego powodu, opłacił ten dług Kupcowi w części, a pobrawszy moie Wexle od niego otrzymał Dekret na mnie, do odebrania summy całkowicie.

KAROL *na stronie.*

O Nieba co ia słyszę!... *głośno* nie wiadomoż ktoby to był tak niegodziwy ?

RYSZARD.

O tym zamilczano; tylko mi to powiedział ten poczciwy człowiek, że to iest Osoba, po ktorey nigdyby tego nie trzeba się spodziewać.

PASTOR *na ſtronie.*

Och taki poczciwy powinien by dawno wiſieć! *głośno.* Ktoż ci to powiedział móy Oycze?... może to czasem ieſt rzecz zmyslona?...

RYSZARD.

Wcale nieznaiomy;... ale cóżby on za racyę miał zmyślać?... Otoż iak mi ſię zdaie, że Milady zoſtawszy o tym uwiadomiona...

KAROL.

Ach nie móy Oycze! nie myślcie tak o niey. Ta Pani tak miłoſierna...

PASTOR

Ey co tam miłoſierna... każda rzecz podpada odmianie, a cóż dopiero kobieta?.. Ależ powiędzcie mi prawdę, ieżeli to nie ieſt czaſem powieść zmyslona, co wam pozoſtaie do czynienia?... *na ſtronie.* Ach

dowiaduymy ſię, czy nie maią cokolwiek pieniędzy.

R Y S Z A R D.

Ja w tym rady WPana zaſięgam.

P A S T O R.

Możnaby to iak kolwiek ſię z tego wywinąć; alež tak mi ſię zdaie, że Lady odieźdżaiąc, nie musiała was zoſtawić bez naymnieyſzego ſposobu: może wam dała cokolwiek z pieniędzy.

K A R O L.

Wcale nic.

PASTOR *na ſtronie.*

Tym ci gorzey, *głośno.* Mospanie Karol! WPan miałeś bardzo piekną Garderobę, i porządek pokoiowy; można by to ſprzedać na poratowanie Oyca.

KA-

❧ X ❧

K A R O L.

Ach Mości Dobrodzieiu! choćby to nie wyſtarczyło na opłatę tego długu, iednak uczyniłbym to z całego ſerca, ale cóż, kiedy z tey Garderoby, ani iedney Kamizelki nie wziąłem.

PASTOR *na ſtronie.*

Już wszyſtko przepadło; zgubiłem ſię ſamo chcąc! *głośno.* A portrecik iey kameryzowany: przynaymniey ten muſiała zoſtawić? iak mi Jubiler powiadał, oprawa iego ma bydź kosztowna.

K A R O L.

Co tylko iey było, wszyſtko u niey zoſtało.

PASTOR *na ſtronie.*

Ach rospacz mnie bierze; o ty ſiwy szaleńcze, cóżeś uczynił! *biie ſię po czole.*

RYSZARD.

JPan Pastor iak widzę iest zalterowany?

PASTOR *zapomniawszy się.*

Ach iak to się nie alterować, będąc tak zgubionym.

KAROL.

Zgubionym? kto taki Mości Dobrodzieiu?

PASTOR *postrzegłszy się.*

Ach!... któż, kiedy nie wy: dalibóg ta Milady w cale nie godziwie zrobiła, ile w tym razie: tak ze wszystkiego ogołacać!.. ach żal mi was prawdziwie! a tak mi iest żal, że nawet na was patrzeć nie mogę! *chce odchodzić.*

KAROL.

Mości Dobrodzieiu! nie zostawiay

wiay nas bez pocieszenia.

PASTOR.

Ale cóż ia poradzę? Ja nie ieſtem w ſtanie was opatrzenia.

RYSZARD.

Jeden tylko nam ſposob ratowania ſię pozoſtaie; żądamy tylko w tym WPana pomocy.

PASTOR *z ciekawością.*

Jakiż to przecie?... może macie iakiego tu Przyiaciela, który za was założy?...

RYSZARD.

Wcale nie... ach!...

PASTOR.

No, iakiż to przecie ſposob? mówcie mi *na ſtronie.* Ach gdybym przynaymniey choć ſwoie odebrał! *głośno.* No ſłucham iuż. RY-

RYSZARD.

Mówiono mi; że ten Jegomość ma Jutro na mocy Dekretu mnie aresztować, tylko czeka ieszcze, iak mu okoliczności posłużą. Zmiłuy się Panie czy nie mógł byś ten areszt wstrzymać do kilku dni przynaymniey.

KAROL.

O Boże co ia słyszę! o nieszczęśliwy stan nasz!

PASTOR.

Cóż to się ma znaczyć? albo to wy myślicie, że ia co do tego należę?

RYSZARD.

Uchoway Boże, żebym tak miał myśleć o Duchowney Osobie. Nie to iest sprawa iakiegoś niegodziwego Lichwiarza. Ale WPan musisz mieć przyiaźń z tuteyszym Prezydentem, dla niego łatwo to uczynić.

PAS-

PASTOR.

Prawda, *na ſtronie*. Ach Dowiaduymy ſię dla czego on o to proſi? *głośno*. Dobrze, bardzo dobrze! będę mu o tym mówił, ſpodziewam ſię, że mnie uſłucha. Ale cóż wam to pomoże, że ſię ten areszt przewlecze?

RYSZARD.

Jeſt tu u Portu tuteyszego kilka Okrętów, będę proſił, może mnie na który z nich przyimą.

PASTOR *na ſtronie*.

Ay! ay! ay! co ia ſłyszę?

RYSZARD.

A może móy Syn gdzie indziey, przy pracy i ſtaraniu, zbierze cokolwiek grosza... Ach choć to ieſt w cale mała nadzieia... Ale cóż mu z tego przyidzie, że on nas będzie więził?...

PAS.

PASTOR *na ſtronie.*

A... ci Jchmość o ucieczce zamyślaią! *głosno.* No, no, możecie ſię na mnie ſpuścić, ſpodziewam ſię że mnie Prezydent uſłucha, ieszcze podług moiey możności dam wam na drogę.

K A R O L.

O Nieba!... o Amelio!

PASTOR *na ſtronie.*

Ach! dobrze żem ſię dowiedział.... trzeba temu zawczasu zapobiedz... podobno to móy Braciszek odkrył moie obróty.

R Y S Z A R D.

Mogęż ſię beśpiecznie ſpuścić na WPana?

P A S T O R.

Beśpiecznie zaręczam na móy siwy

siwy włos, i na Kapłańſki charakter, że ile moiey możności, będę wam pomagał, *na ſtronie.* Oy ziecie Diabła, że mi ſię wyslizniecie! *głośno.* No póydę teraz zatrudniać ſię waszym intereſsem, bywaycie zdrowi, *odchodzi.*

RYSZARD.

Niech ci Bóg we wszyſtkim dopomaga!

SCENA
Osma.

RYSZARD, KAROL.

KAROL.

Kochany Oycze! czy nie możnaby iakiego innego ſposobu wynaleść, dla uniknienia tego nieszczęścia?

RYSZARD.

Ja żadnego nie widzę, tylko al-

bo

bo uciekać z tego mieysca, albo bydź ofadzonym w niewoli na całe życie.

KAROL.

Możeby ten co poopłacał nasze długi, dał fię uprofić?

RYSZARD.

Mówił mi ten nie znaiomy: iż to ma bydź człowiek bardzo podłego gatunku.

KAROL.

Ach! iaki był iego zamiar? mufiał nie wiedzieć, że ieftešmy bez sposobności?... Co mu przyidzie z twoiey niewoli?... O Amelio!...

RYSZARD.

Widzę że ci fię nie chce z tych mieysc ruszyć. Do twoiey więc woli zoftawiam, iechać, lub pozoftać fię. Ja zaś choć z wielkim żalem; będę przymuszony ciebie zoftawić.

Ach!... gdyż śmierć sama zdaie się dla mnie bydź znośnieysza nad niewolę.

KAROL.

Nie móy Oycze, nigdy cię nie odstąpię. Ty ile starym będąc, nie dostaniesz tak łatwo mieysca. Ja iestem młody, mam siły czerstwe, zaciągnę się gdzie na który Okręt za Maytka, a tak będę mógł i ciebie przy sobie żywić; będę się porcyą mnie wydzieloną na pół z tobą dzielił. Ach! spodziewam się, że Bóg nam doda posiłku. Xuremu zaś dam zupełną wolność, tak poczciwy człowiek, iak on, łatwo dostanie sobie mieysca.

RYSZARD.

Niech cię Bóg błogosławi za twoią myśl móy Synu. Ale nie traćmy czasu daremnie: idźmy do Portu! tam rozpatrzemy się, może gdzie potrzebuią. Lecz o to nie trzeba się turbować, na Okrętach zawsze ludzi potrzeba. Tylko idźmy żeby się zawczasu umówić.

KA-

KAROL.

Zaraz móy Oycze, tylko póydę Kapelusz wezmę *odchodzi.*

RYSZARD *sam.*

O Ludwiku!... Ludwiku, Synu niegodny... z twoiey to przyczyny przychodzi mi błąkać się po obszerney płaszczyznie Morskiey.. Ach! zasłużyłeś na to, ażeby usta moie słuszne przeciw tobie wyzionęły przekleństwo.. iuż tylko com tego nie uczynił.. Już byłbyś nim obciażonym,.. gdyby nie rzadki przykład na Swiecie, miłość brata twego od tego mnie wstrzymała... Puszczę się tedy na Morze, ale dokąd?... po co?... O iakaż moia starość iest nieszczęśliwa *siada.*

SCENA

DZIEWIĄTA.

MIKOŁAY, RYSZARD.

MIKOŁAY.

O Boże! iak mi te okolice zdaią się bydź miłe po ośmioletnim ich niewidzeniu;... ach! te mieysca zdaia się dla mnie Raiem ziemskim... O powitay ulubiona chatko! w którey początek życia mego wziąłem;... o wy śliczne pagorki! które w moich oczach przez piętnaście Wiosen, roszkoszną przybierałyście na siębie barwę... Wszystko tu iest w takim stanie, w iakim zostawiłem przed osmio laty, puszczaiąc się na Morze... Ach gdybym się mógł dowiedzieć iakim sposobem, czy kochany Oyciec żyie ieszcze?... czy naymilszą Siostrę zastanę w domu;?... ale iak tego dokazać?... O Panie móy!.. dobroczynny Panie! po co na mnie włożyłeś ten tak ciężki obowiązek,.. Jakiś człowiek siedzi przed gankiem,... może się u niego dowiem?... Mina poważna,.. włos siwy;... ach iakież on ku sobie wzbudza poszanowanie!... *zdeymuie Kapelusz.* Szczęśliwe spotkanie twoiey starości.

RY-

RYSZARD.

Podnosząc głowy spogląda na niego; Boże błogosław cię za twoie dobre życzenie poczciwy Młodziencze.

MIKOŁAY.

Móy miły Oycze! ieżeli mi cię wolno iest tak nazwać? czy nie mogłbyś mi powiedzieć, gdzie tu mieszka Lady, Jmieniem Amelia Bettford? Gdyż Pastor Valle, a móy Pan, który tu przyieżdża, kazał mi iey donieść, iż iutro iak nayraniey ma u niey bydź na Kawie.

RYSZARD.

Tu mieszkała, *pokazuie na dom Milady,* ale dziś iuż ze wszystkim wyiechała.

MIKOŁAY.

Już iey niemasz? Więc nie mam po co chodzić do tego budynku... *na stronie* ach żeby się iak, ostróż-

ſtróżnie wywiedzieć o moim Oycu! *głośno* móy Panie! powiedźcie mi czyia to ieſt chałupa?

RYSZARD.

Jeſt to poczciwego Rybaka, nazwiſkiem Reder.

MIKOŁAY *na ſtronie z wruszeniem.*

O Boże!... *głośno.* A czy ieſt u ſiebie?

RYSZARD.

Niemasz go, poszedł na brzeg Ryby łowić. Ale ieżeli macie iaki Jntereſs, to ieſt w Chałupie iego Córka Ruzia, ona go wam zawoła.

MIKOŁAY.

Nie... niemam żadnego Jntereſsu... tak ſię tylko pytałem.

SCENA

Dziesiąta. KA-

KAROL, RYSZARD, MIKOŁAY.

KAROL *wychodzi z Chałupy.*

Jdzmy iuż móy Oycze!

RYSZARD *odchodząc.*

Zoſtańcie ſię zdrowi móy Panie! *odchodzi, a za nim Karol.*

MIKOŁAY.

Boże was prowadź ſzczęśliwie gdzie iść zamyślacie, *kładzie Kapelusz na głowę.* Ten Młodzieniec wyszedł z Chałupy mego Oyca, tak pomieszany? Ten ſtaruszek tak ſmutny? Widok ten ciekawości mnie nabawił. Chciałbym ſię dowiedzieć,... ale dam lepiey pokoy,... to ieſt gorzey że nie mogę ucałować ſzanowne ręce kochanego Oyca, uściſkać ulubioną Sioſtrę,... ale darmo, trzeba memu panu bydź poſłusznym; który ſerio mi przykazał, nie pierwey widzieć się z niemi, aż mi ſam pozwoli: muszę mu bydź poſłusznym.

Wiem

Wiem że mnie długo nie będzie martwił, i dziś ieszcze pozwoli się z nim widzieć. Ach Boże! dzięki tobie żem ich w dobrym zdrowiu zastał. Muszę teraz iść do pałacu mego Pana, żeby mnie tu ktore z nich nie obaczyło, *odchodzi.*

Koniec Aktu drugiego.

AKT TRZECI

Dekoracya ta ſama co w Papudze.

SCENA

PIERWSZA.

LUDWIK.

Wchodzi ubogo ubrany w naywiększey rospaczy. Otoż ieſt te mieysce do którego dążyłem,... otoż ten Dom, w którym ſię do szczętu zniszczyłem... Te mury... ach... w tym mieyscu Oyciec móy... Oyciec ulubiony, ſtał na zimnie, na ſłocie, zgłodniały, w tedy, kiedy ia dopełniałem miarkę zbrodni moich. Ach Oycze! twoie to może przekleſtwo aż nadto ſkutkuie. Ale nie,... moie

to piiaństwo rozpusta i kosterstwo do tego mię przywiodło,... albo może... łzy Brata mego, łzy to kochanego Karola, sprowadziły na mnie tę pomstę z Nieba!... Przez moie niegodziwe Jntrygi i przymilenia się Rodzicom wygnałem cię z własnego Domu. Ja pragnąłem odziedziczyć ten cały maiątek, który w podział miał iść z tobą... Ja cię wygnałem, a teraz sam nie mam nigdzie schronienia, o Karolu! kochany Bracie!... od tego czasu iakeś się oddalił, nawet nie wiem gdzie się obracasz?... Już podobno nigdy ciebie nie zobaczę,... ach Oycze móy! Oycze kochany! iuż podobno i ty nie żyiesz,... o gdybym się mógł od kogo dowiedzieć, dokąd z tych mieysc udałeś się? Poszedłbym za tobą; a ieżelibym cię nie znalazł żywego, to przynaymniey może by mi pokazano mogiłę, gdzie twoie zwłóki są złożone, a tam... oblałbym ie łzami szczérego, choć nadto póżnego żalu!... o Oycze móy, iuż cię podobno nie uyrzę, niech

że przynaymniey ucałuię te mieysca, gdzie twoie szanowne slady znayduią się,.. ach!... Rok temu iako w tych mieyscach stałeś rozmawiaiąc z Henrykiem moim wspoł Towarzyszem zbrodni... Rok temu, iak za twoim przeklęstwem Bóg mnie oddał pod moc Jędzom piekielnym, Rok temu iak straciwszy wszystko puściłem się na Okręt,... ale żadne mieysce mnie cierpieć nie może,... ten Okręt rozbił się, a Morze nawet nie chciało mnie przyiąć do swego Łona... Już Jutrzenka oznaymuie żywiołom bliski wschod Słońca, za ukazaniem się iego swietnych promieni, każde Stworzenie po miłym spoczynku, cieszyć się będzie pięknym iego widokiem,... a Ja, Ja nie szczęśliwy nie doznam tey roskoszy... Sen mnie bierze, zimno Krew w żyłach moich scina,... ach usnę może! ale bodaiem usnoł na wieki, *pada w nayiększey rospaczy, i całuie Ziemię.* O szanowne slady Oyca mego... *usypia.*

SCENA

TRZECIA.

RYBAK XURY *z Siecią w rękach.*

RYBAK *przeciera oczy.*

Jakżeś ty naprzykrzony móy Xury, od pół nocy ſpać mi nie dałeś.

XURY.

Patrzcie móy Oycze! iuż Jutrzeńka wyſoko, właśnie ſama pora będzie do zapuszczania ſieci. Może też nam Bóg da co ułowić? wszak że to oſtatni raz będziem razem z ſobą: dziś pewnie puściemy ſię na Morze.

RYBAK.

Zal mi was bardzo moi Przyiaciele. Ach! iak mnie to martwi, że wam nie mogę bydź pomocą,... ale czym będę mógł, tym ſię wam przyſłużę. Panu Karolowi niechce

mi

mi się nic o tym mówić, ale ty może mnie usłuchasz...

XURY.

Cóż to takiego?

RYBAK.

Oto przyimiycie od moiey Córki na droge te trzydzieści czerwonych złotych, co iey Milady dała za usługi! ia z nią zostanę na mieyscu, to się mogę obeyść bez pieniędzy,... ale wy...

XURY.

Nie móy Oycze: tego nigdy nie uczynię.

RYBAK.

Cóż to? pogardzasz moią przysługą?

XURY.

Wcale nie móy Przyiacielu; ale

ale te pieniądze są nam wcale nie potrzebne. Natrafił móy Pan na iakiegoś bardzo poczciwego Szypra, który dał mu Funkcyą na Okręcie Szafarza; a iego Oycu zlecił pilnowanie ſtancyi ſwoiey... Już tedy nasza podróż nic nas nie będzie koſztować; popłyniemy nazad do Jamaiki, i tam na nowo zaczniemy pracować. Spodziewam ſię że za pomocą Boſką w krótce przyidziemy do Maiątku.

RYBAK.

Boże wam dopomoż. Ale Pan KAROL mówił, że ciebie chce zoſtawić.

XURY.

Ale ia ſię nie zoſtanę; i choć by mi z głodu umrzeć przyszło, nigdy od niego nie odſtąpię. Ale idźmy do roboty móy Panie, tam ſobie będziem mogli rozmawiać do woli, gdyż ſzkoda na próżno czasu trawić.

RYBAK.

To iuż idźmy, kiedy ſię tobie tak podobało, *odchodzi.*

SCENA

Czwarta.

PASTOR SANGLOZ, JNSTYGATOR.

PASTOR SANGLOZ.

Jeszcześmy zawczasu przyszli.

JNSTYGATOR.

Jeszcze też bryka z żołnierzami daleko, coś im ſię zepsuło.

PASTOR S.

Jakże WPanu Pan Prezydent dysponował?

JN-

JNSTYGATOR.

Kazał bydź WPanu Dobrodzieiowi we wszystkim posłusznym.

PASTOR S.

To dobrze; otoż weydziesz WP. z żołnierzami do tey chałupy; iest tu dwóch Starców: ieden Rybak, a drugi zbankrutowany Kupiec, nazwiskiem Westerland.

JNSTYGATOR.

Znam ich obydwóch, są bardzo poczciwi Ludzie; nie wiem coby oni takiego wykroczyli?

PASTOR S.

Słuchay mnie WPan tylko.... kiedy WPan ich znasz, otoż tego Westerlanda każesz wziąć. i zwiazanego iak Barana włożyć do bryki.

JNSTYGATOR.

Tego Starca wiązać? a Mospanie zmiłuy się WPan! wszak to iego strach będzie wręce wziąć.

PASTOR S.

A co WPan mówisz: stare kości są tak mocne iak Kobyle; ale iednak mów WPan Synowi, ażeby się starał o pieniądze, to go każę uwolnić.

JNSTYGATOR.

A ieżeliby ten Rybak złożył za nim Parękę?

PASTOR S.

Uchoway Boże! pretensyi blisko do piąciu tysięcy Talarów; a on z ciałem i z Duszą nie wart tyle.

SCENA

PIĄTA.

UN-

UNTER-OFFICIER, PASTOR S. JNSTYGATOR, LUDWIK.

UNTER-OFFICIER.

Bryka iuż przyszła i warta ieſt w gotowości.

JNSTYGATOR.

Jeszcze trochę ciemno.

PASTOR S.

Nic to nie szkodzi, każ WPan przyiść żołnierzom.

JNSTYGATOR.

Przyprowadź WPan Wartę *Unter-Officier odchodzi.* Ale przynaymniey WPan powiedź! co ten ſtaruszek zrobił tak złego.

PASTOR S.

Ach czy mało! a między wſzyſtkim, Syna który Długów narobiwszy

szy uciekł z tego Domu, ale i ſam Diabła wart.

JNSTYGATOR.

Tylko to? ach, Mospanie Paſtor! przypomniy WPan ſobie ſwego, którego ia Rok trzeci temu iak podawałem Katowi na Szubienicę za to; że kilka Sklepów kupieckich wyłamał.

PASTOR S.

Ey co tam WPan przypominasz rzeczy takie, które ſię dawno powinny zapomnieć, *żołnierze nadchodzą*. Otoż nadchodzi Warta zaczynay WPan ſwoią robotę...

SCENA

SZÓSTA.

Ci ſami Unter-Officier z żołnierzami.

JNSTYGATOR *idąc do chałupy Rybaka.*

O Boże! iak to ieſt cięzka powinność temu kto ma czułe ſerce... idzcie tu za mną, *żołnierze i Unter-Officier odchodzą.*

PASTOR S.

O poczekay Mospanie Ryszard, chciałeś mi ſię wykręcić, aż ci ſię przecie nie udało... Day go katu iaki sliczny proiekt ſobie ułożyli... chcieli mi ſię gracko wymknąć.. własnie mi waszego zwierzenia ſię potrzeba było,... ieżeli Pieniędzy moich nie zyszczę, to będę miał te ukontentowanie, że tego zgrzybiałego ſtarca...

SCENA
SIÓDMA.

RUZIA, PASTOR, LUDWIK *spiący,*

RUZIA *krzyczy w Chałupie.*

Dla Boga! dla Boga! co ſię to dzieie. Oycze móy Xury!... PAS-

PASTOR S.

A ha! iuż go muszą wiązać, ach Serce mi się rozpływa z radości!

RUZIA *nie porządnie ubrana wybiega z Chałupy.*

Cóż to za gwałt? co się to znaczy? Oycze! Xury! ratuycie! *bieży za kulisę.*

LUDWIK *podnosząc się.*

O Boże co to za krzyk?

PASTOR *postrzegłszy Ludwika.*

Ktoś ty iest? co tu robisz?...

LUDWIK *przestraszony.*

Mospanie! iestem podróżny, nicht mnie na noc nie chciał przyiąć, spałem tu pod tym Murem.

PAS-

PASTOR.

Porywa go za piersi, i stawia przy Murze Amelii. Jesteś łaydak! stóy mi przy tym murze; a nie waż się mi na krok ruszyć, bo cię powiesić każe.

SCENA

Osma.

XURY, RYBAK, RUZIA, PASTOR, LUDWIK.

RYBAK *wpadaiąc.*

Cóż to iest, co się to znaczy?

XURY.

Kto się tu waży gwałt uczynić? upewniam że żywy nie wyidzie

PASTOR S.

A te Ładyaki gotowi są warte wybić.

SCE-

SCENA

Dziewiąta.

Ci sami i KAROL.

KAROL *w Chałupie.*

O Boże!... o Boże!... zginęliśmy... o Boże!... moy Oyciec!

XURY.

Co poczciwy Ryszard? przyiacielu poday mi tam ten koł! *Karol wybiega*, nie boy się Panie, nicht ani ciebie, ani twego Oyca nie pokrzywdzi, pierwey mi życie odbierze, *porywa za koł i bieży do chałupy.*

KAROL *bardziey przelękniony*

Xury! co chcesz robić? ia ci roskazuię day pokoy!

XU-

XURY *rzuca koł za Kulisę.*

Ach Panie! nigdy tobie nie byłem przeciwnym. Jednak żadnego rozkazu tak niechętnie niewykonywałem iak ten...

RYBAK.

Pozwoliszże więc Oyca pokrzywdzić?

KAROL.

Żołnierze przysłani od Urzędu.

RYBAK.

Żołnierze?...

LUDWIK *na ſtronie.*

Co się to wszyſtko znaczy?.. o Boże! coś mi serce nadzwyczaynie biie...

KAROL *postrzega Pastora.*

Ach WPan to tu Mospanie Pastor iakimże to szczęściem napotykam go tu? *całuie w rękę.*

PASTOR.

Ale czego WPan chcesz?

KAROL.

Zmiłuy się Panie! uczyń tę łaskę, day porękę za moim Oycem, a ia sam dam ci się w zakład za niego.

PASTOR.

Precz z twoią poręką, nie takiey mi potrzeba.

SCENA

DZIESIĄTA.

Ci sami, RYSZARD, INSTYGATOR, UNTER-OFFICIER, ZOŁNIERZE.

RY-

RYSZARD.

Cóż to iest? Dokądże mnie prowadzicie ?

KAROL.

Otoż go wyprowadzaią; o nieszczęsliwy Oycze!

LUDWIK.

Przebóg! co widzę? nie mylę się! to Oyciec móy... Oycze naymilszy! *Bieży do Oyca i pada mu do nog.*

RYSZARD.

Ludwik?.. o Boże!... *Pada zemdlony na Zołnierzy którzy go wstrzymuią.*

KAROL.

Móy Brat? Ach tegoż ieszcz brakowało do dopełnienia naszege nieszczęścia? *Pada na kamień, Xur* o *go przytrzymuie.*

PASTOR S.

Jego Syn? tym lepiey.

LUDWIK.

Ach Oycze móy! Oycze móy!

RUZIA *ociera oczy.*

Serce się kraie patrząc na ich biedną sytuacyą.

RYBAK.

O nieszczęsliwi Przyiaciele!

INSTYGATOR.

Mospanie Pastor! i nic że WPana ten widok nie porusza?... Ja, który tyle Delinkwentow w ręce Katowſkie podawałem, który tyle razy na ich męki i śmierć patrzeć musiałem, a iednak litość nad temi biednemi ludźmi, łzy mi z oczow wyciſka.

PASTOR S.

Wſtydź się WPan rozpościerać takowe żale. Kolbą tylko tego

Star-

Starca, to się zaraz otrzezwi. A wziąć go i tego co u nog iego leży. wziąć go razem do Kozy.

RYBAK *w gniewie.*

O zapamiętały Potworo Narodu ludzkiego!

INSTYGATOR.

Słuchay mnie WPan!... Słuchay proszę!.. Ja za niemi daię porękę...

PASTOR S.

Dobrze, położ pięć tysięcy talarow.

INSTYGATOR.

O gdybym miał ie w tym momencie!

PASTOR S.

Więc nie mitręż daremnie czasu, rob to; co twoia powinność każe!..

IN-

INSTYGATOR.

Idę... muszę to robić do czego iestem powołanym. Ale ty!.. ty spodzieway się Instygatora Piekielnego, którego Bóg zeszle na ciebie, a ten okuie cię w łańcuchy, i wrzuci do tego więzienia, z którego wiecznie nie będziesz wybawionym.

PASTOR. S.

Mospanie! Co to za zuchwałość? Nie pytay się o nic, a dopełniay co ci rozkazano.

JNSTYGATOR.

Z tak podłym Człowiekiem, niemam więcey nic do mówienia.

RYSZARD *przychodząc do siebie.*

Nieszczęśliwy Ludwiku! .. patrz do iakiego przez twoie rozpusty przyszedłem stanu!.

LU-

LUDWIK.

O Boże! czemuż w ten moment nie zkamienieię?

JNSTYGATOR.

Móy Staruszku idźmy powoli.... wstań i WPan, póydziesz razem z nami.

RUZIA.

Oycze móy! iuż ich prowadzą.

RYBAK.

Nieszczęśliwi.

XURY *trzeźwiąc Karola.*

Panie móy! Panie móy!.. Ach Ruzia, Zarwis ratuycie.

KAROL.

Nie, nie potrzebuię żadnego ratunku. Ach gdzież się podzieli?.. Już ich niemasz.

XU-

XURY.

Panie! ia ich dogonię i przyprowadzę nazad.

KAROL.

Zostań się... Zostań tu, ia sam póydę... O Boże! kładą ich na woz, *odchodzi raptem w tę stronę gdzie Oyca poprowadzili.*

XURY.

Kazał mi się pozostać. Czy to tak u was poczciwych ludzi traktuią?

RYBAK.

Ruziu! idź weź cokolwiek pieniędzy, i kup dla nich z butelkę wina na posiłek. Ludwik choć iest występnym, ale iest teraz nieszczęsliwym; trzeba mieć nad nim litość. Widać z miny iego, że iest zgłodniały.

R U Z I A.

Dobrze móy Oycze *odchodzi.*

P A S T O R.

Ha! lepiey mi się udało a niżelim się spodziewał, mam teraz obydwoch w łapce, choć pieniędzy swoich nieodbiorę; ale za to będę ich dręczył podług mego upodobania.

X U R Y.

Słuchay! Kolor twey Duszy czarney zgadza się z twoią suknią. Ty to iesteś Sprawca ich nieszczęścia. Czego ci trzeba; poręki? o to ia ręczę za niemi, na moią poczciwość, ręczę iak tylko sam chcesz: a proszę cię uwolniy tych poczciwych ludzi!

P A S T O R.

Pódź precz ty czarny Szatanie! *odchodzi.*

XU-

XURY *w passyi.*

Co! czarny Szatanie?... poczekay Serce Tygrysie... zakazał mi Pan bronić siebie, ale nie zakazał zabiiać Zdraycow. Gdzie iest moia maczuga?.. *chce odchodzić.*

RYBAK *wstrzymuie go.*

Xury co chcesz czynić?.. Zgubisz sam siębie.

XURY.

Cóż mi więcey po życiu? kiedy móy Pan! kiędy Oyciec iego, poczciwy Starzec! iest w niewoli... Ach nie! nigdy mu tego nie daruię. Puszczay mnie, puszczay proszę cię.

RYBAK.

Już go nie dogonisz, iest daleko.

XURY.

Co ? . . . Ja dzikie kozy po niedostępnych górach doganiałem, ażebym tego zgniłego Starca nie miał dognać ? . . ale puść mnie mówię ci bo mi cierpliwości niestaie. *Wydziera się i wbiega do Chałupy.*

RYBAK *przelękniony.*

Ach cóż tu poradzić. . . . boię się ażeby Xury wielkiey Historyi nie narobił.

XURY *wybiega z Maczugą.*

Obaczę czy ten niegodziwy z rąk moich uyść potrafi ?

RYBAK *zatrzymuie.*

Xury ! co chcesz czynić ? upamiętay się !

X U R Y.

Upamiętać się? dobrze, ale pierwey tę czarną Duszę zgładzę z tego świata.

R Y B A K.

Narazisz przez to na niebespieczeństwo twoie życie, i nas wszystkich. U nas są prawa bardzo surowe.

X U R Y.

Mów raczey przewrótne; kiedy tak niegodziwy Łotr, śmie brać w niewolą tak cnotliwego Starca... bo nie mówię o iego Synie iuż na to dawno zasłużył... Ale Pan móy! *rzuca się na kamień.* On mnie wykupił z kaydan, a ia mu w podobnym razie pomocą być nie mogę. Ach pocóżeś mnie wykupował kochany móy Panie?.. czemużem nieposzedł do Fabryki cukru?.. a lżeysza by teraz dla

dla mnie była tamta praca, niż ta męka którą teraz cierpię!

RYBAK.

O Boże! day mu upamiętanie.

XURY.

O wolałbym był być przywalonym w Lochach mineralnych bryłą ziemi, a niż tak ciężkim żalem!

RYBAK.

Ach biedny!

XURY.

Ach czemuż mnie Morze niepochłoneło w swoich przepaściach? Lepiey żebym był poszedł rybom na pożarcie, a niżeli żem się wyratował dla tego: ażebym patrzał na tak nę-

dzny stan tych poczciwych ludzi. . .
o Boże móy! skróć mi lepiey życie!. ..

SCENA

JEDENASTA.

XURY, RYBAK, PASTOR VALLE
z *Orderem przy Fraku.*

VALLE.

Cóż to iest? czego on tak narzeka?

RYBAK.

Ach Panie! ten człowiek poczciwy. . .

XURY.

O wielki Boże Chrześcianow! iak to może być, ażeby ludzie w przedwiecznych taiemnicach twoich ćwiczeni, mieli serce tysiąc razy gor-

gorsze nad tych Barbarzyńcow które ? . .

PASTOR VALLE.

Przyiacielu ! niech ci ten Bóg którego teraz wezwałeś, będzie we wszystkim pomocą. Powiedz co masz za umartwienie ?

XURY.

Ktoś ty iest ? . . a ty drugi zbrodniu odziany tą czarną suknią czego chcesz odemnie ? Co tu masz do czynienia ?... Co ?.. Czego żądasz ? . . ach wściekłość mnie napada. . . Uczynię Bogu przysługę, kiedy tobie młodemu niedopuszczę. *Zamierza się Maczugą.*

RYBAK *chwyta za rękę.*

Oszalałeś Xury .co ci winien ten nieznaiomy ?

PA-

PASTOR VALLE.

Przyiacielu! upamiętay się; com ia ci winien?

XURY.

Możesz że ty będąc w tym odzieniu nazywać mnie swoim przyiacielem... ach to do nieznieśienia! puść mnie mówię ci... gdyby nie ty, iuż by go nie było na świecie.

PASTOR VALLE.

Czyste serce żadney śmierci nigdy się nie lęka. Ale pomiarkuy twoią zapalczywość. Zatrzymay się! a poznasz mnie, iż iestem godzien tey sukni, którą noszę na sobie.

RYBAK.

Odday mi tę pałkę, proszę cię!

XURY.

Nie niepuszczę iey od siebie póty, póki się nie zemszczę krzywdy wyrządzoney Panu memu.

RYBAK.

Już tego niedogonisz który ią wyrządził; a, byłżebyś tak szalonym, mścić się na niewinnym?

XURY.

Więc puść mnie! póydę do mego Pana, dzielić z nim razem umartwienie.

RYBAK.

Oddayże mi tę pałkę, i idź sobie.

XURY.

Na, weź ią sobie... móy Pan! ach biedny móy Pan! *odchodzi.*

PASTOR.

A to iest osobliwsze zdarzenie,

RYBAK.

Ruziu! hey, Ruziu!

SCENA

DWÓNASTA.

PASTOR, RYBAK, RUZIA.

RUZIA *ubrana.*

Słucham móy Oycze.

RYBAK.

Moia Córko, idź ty za Xurym, i miey go na oku, żeby czasem iakiego nie zrobił głupstwa.

RU-

RUZIA.

Dobrze móy Oycze. *Odchodzi za Xurym.*

PASTOR VALLE.

Móy Staruszku! powiedź mi co się to wszystko znaczy?

RYBAK.

Oto w tym właśnie momencie, Pastor tuteyszy kazał wziąć do więzienia z mego Domu, iednego poczciwego Starca. Ten zaś Murzyn iest służącym iego Syna.

PASTOR.

Jak to, Pastor by miał?..

RYBAK.

Tak iest.

P A S T O R V.

A to za co ?

R Y B A K.

Podobno za długi.

P A S T O R V.

Gorliwość tego Murzyna bardzo mi się podoba. Ale czy to podobna ażeby Pastor miał to czynić? chyba ci się przywidziało móy Staruszku.

R Y B A K.

Nie móy Panie! wcale się nieprzywidziało. Bogu dzięki, iestem przy zdrowych zmysłach; a to wszystko na moie oczy widziałem.

P A S T O R V, *na stronie.*

Wyiść zpodziwienia nie mogę,

Pastor miałby... ale trzeba się o wszystkim wywiedzieć. *Głosno.* Móy Oycze! pokaż mi gdzie tu mieszka Lady, Amelia, Bettford; a tam mi opowiesz całą rzecz.

RYBAK.

Już ta Pani wyiechała ieszcze dnia wczorayszego.

PASTORV.

Jak to? wszak ia wczoray przed wieczorem przysłałem mego Kamerdynera z oznaymieniem, że będę dziś rano u niey na kawie.

RYBAK.

Ten posłaniec musiał iuż iey nie zastać, bo zaraz po obiedzie wyiechała.

PASTORV.

A niewieszże móy Przyiacielu dokąd?

RYBAK.

Mówiła mi moia Córka, że do tych Dóbr co iey Mąż zapisał.

PASTOR. V.

Aż na granicę Szkocką?

RYBAK.

Tak iest. Ale tę noc miała nocować u swoiey Przyiaciółki Milady Burgos: ztąd o dwie mile.

PASTOR V. *zdziwiony*.

Cóżby się to iey stało, miałażby ona być po Szlubie? ale pomału dowiem się o wszystkim.... ach trzeba mi się koniecznie z nią widzieć. *Głośno*. mówicie móy Staruszku, że miała nocować o dwie mile?

RYBAK.

Tak o dwie mile ztąd.

PA-

PASTOR V.

Idzie wgląb Teatru Łukaszu!... Hey Łukaszu! *do Rybaka* a wy poczciwy Człowieku, przez łaskę swoią pokażecie mi gdzie tu iest Pałac Dyecezalnego Biskupa?

RYBAK.

Panie! nasz Biskup dawno umarł. Dobry to był Pan niech mu Bog da Niebo.

PASTOR V.

Ja się tylko pytam o Pałac. Idąc drogą, opowiesz mi całą rzecz o waszym Pastorze, i tym Staruszku co iest wziętym do niewoli.

RYBAK.

Bardzo dobrze Mości Panie.

SCE-

SCENA

TRZYNASTA.

ŁUKASZ, PASTOR V. RYBAK, ŁUKASZ.

Jestem Panie.

PASTOR V.

Biegay na Pocztę, weź konie i jedź jak nayprędzey do Milady Burgos. Natychmiast List piszę do Lady Bettford, aby się tam zatrzymała. A ieżeli iey tam nie znaydziesz, siaday na drugie konie i gdzie ią tylko dopędzisz proś aby na mnie czekała. Ja nie bawiąc wyieżdżam za tobą, tylko niektóre ułatwię interessa.

ŁUKASZ.

Bardzo dobrze *odchodzi.*

PA-

PASTOR V. *do Rybaka.*

No, idźmy tędy móy Przyiacielu.

RYBAK.

Dobrze, idźmy Mości Panie... *odchodząc za Pastorem.* Gdyby ten Pan przynaymniey chciał się ulitować nad temi biednemi ludźmi, a dopomodz im w ich nieszczęściu, ale o tym ani myśleć... rzadki Pan iest tak tkliwym, ażeby uczuł nędzę bliźniego... Ale idźmy za nim, może też Bóg uczyni cud, i nakłoni iego serce.

Koniec Aktu Trzeciego.

AKT CZWARTY

Teatr okazuie więzienie.

SCENA PIERWSZA.

RYSZARD, INSTYGATOR.

RYSZARD.

Siedzi na ławie w nayw większym smutku Instygator wchodzi, za nim Pachołek niesie pościel w zawinięciu.

INSTYGATOR.

Móy Staruszku! poturbowaliśmy cię; ale nierozpaczay! miey raczey nadzieię w Naywyższey Istności, a może cię pocieszy... Ja póydę do Urzę-

Urzędu, prosić ażeby ci pozwolono w moiey Stancyi siedzieć: będzie ci troche wygodniey.

RYSZARD.

Niech ci zą tę łaskę Niebo będzie nadgrodą. A niewiesz też WPan, gdzie się został móy Syn?

INSTYGATOR.

Zaraz go tu przyprowadzą. Roskazał ten, co was aresztował, zamknąć go w łańcużki. Muszę tedy iego wolę pełnić.

RYSZARD.

W łańcużki?.. o Nieszczęśliwy!... A o drugim Synie moim niewiesz WPan co się z nim stało?

INSTYGATOR.

Zostawiłem go osłabionego, i Murzyn był przy nim.

RY-

RYSZARD.

Powiedź mi też WPan, kto to mnie kazał aresztować?

INSTYGATOR.

Cóż to nie wiesz? oto ten bezbożny Pastor Sangloz.

RYSZARD.

Sangloz?.. O niegodny tego charakteru który nosi na sobie!

JNSTYGATOR.

Bądź dobrey mysli. Ja muszę odeyść.

RYSZARD.

Będę się też mógł widzieć z drugim moim Synem?

JNSTYGATOR.

Jeżeli przyidzie, każę go tu wpuścić... *odchodzi*.

DRU-

SCENA

DRUGA.

RYSZARD potym LUDWIK.

RYSZARD.

O wielki Boże! iakież te dwa stany przeciwne sobie charaktery posiadaią? Jeden Exekutor sprawiedliwości, okazuie się być cnotliwym, i ma serce czułe. Drugi nazywa się Namieśnikiem samego Boga, powinnością iego iest cieszyć nas w utrapieniach: a serce posiada pełne niegodziwey zaiadłości... Zwierzyłem się własnemu Nieprzyiacielowi mego sekretu. Lecz ktoby się był spodziewał tego podstępu? Ach! w kimże teraz mieć ufność? kiedy osoba Duchowna, ma tak niegodziwy charakter Duszy. *Siada i opiera się.*

LUDWIK.

W łańcużkach wchodzi. Już tedy

dy doczekałem się zapłaty za moie sprawowanie się. Znam to że muszę być słusznie osadzony, choć ieszcze nie wiem za co. Ale Oyciec móy, co on wykroczył? . . . Spieszyłem się do tego Miasta dla wywiedzenia się o nim, znalazłem go, w stanie dla mnie nayokropnieyszym. Znayduię go w iednymże zemną mieyscu. Ale znaydęż u niego przebaczenie.

RYSZARD.

Ach! . . .

LUDWIK.

Ktoś wzdycha? móy Oyciec; *pada przy nogach Oyca i opiera głowę o iego kolano.*

RYSZARD.

Twóy Oyciec?

LUDWIK.

Tak iest. Jesteś moim Oycem, i nie odstąpię od nog twoich poty...

RYSZARD.

Póki nie odbierzesz słuszney nadgrody za twoie zbrodnie.

LUDWIK *rozpaczaiąc.*

Słuszney nadgrody!...

RYSZARD *w gniewie.*

Poznałeś mnie teraz? ale nie Oyca tylko współ-więznia; który z twciey przyczyny, może życie skończy w tym nędznym stanie... A wtedy, kiedyś opływał w dostatki, iechałeś mimo Bremu, wiedziałeś o moim zbankrutowaniu, i przeiechałeś spokoyny. Dowiedziałem się nakoniec gdzie mieszkasz, gdzie opływasz w dostatki, ośmdziesiąt mil niczym

czym się dla mnie staią. Spieszę do ciebie, maiąc nadzieię, że się podzielisz ze mną ostatnim groszem. Przybywam pod drzwi Domu twego! Graczow, i Pijakow wpuszczono do ciebie, a ia prawie odepchnięty zostałem. Odstąp i ty teraz odemnie nie chcę cię więcey znać za moiego Syna! *odpycha go.*

LUDWIK.

Popchnięty upada i porywa się naptem Ach!... Teraz się iuż dopełniło moie nieszczęście... Gniew Oyca mego bardziey mnie krępuie, a niż te więzy. Łzy iego iuż na mnie sprowadziły pomstę Niebios *miesza się.* Ach! widzę przed sobą Sędziego, ktory roztrząsa nayskrytsze sprawy moie... Ten wydaie Dekret na męki nigdy nieskończone... *Bierze się za piersi* otoż w tym momencie straszny sęp złe sumnienie szarpie moie wnętrzności. Już krew rozpalona ogniem

pie-

piekielnym, krąży po żyłach moich... ach iuż niemasz dla mnie większey męczarni nad tę, gdy widzę na siebie rozgniewanego Oyca. *Pada na kamień.*

RYSZARD *do siebie.*

Strach mnie całego przeymuie, natura i litość mówią do serca mojego, za nim, *głośno.* Ludwiku.... Zbrodniu! iednak Synu móy zawsze luby...

LUDWIK.

Któ iesteś?... Ja twóy Syn.... Tak; byłem nim, ale teraz, odeydź.... odeydź odemnie... iuż twoie przeklęstwa ziściły się na mnie...

RYSZARD.

Nie przeklinałem cię....

LUDWIK.

Nie przeklinałeś? . . . więc teraz własnie iest tego pora. . . . Już ia iestem zupełnie oddany pod moc złych Duchow. . . rzuć więc sprawiedliwe na mnie twoie przekleństwo; a rzuć go w moiey przytomności! . . . Czego się zastanawiasz? . . . Czego się lękasz? . . .

RYSZARD.

Ach okrutny!

LUDWIK.

Nie chcesz? Więc ia go sam na siebie zsyłam. Boże widzisz mnie zbrodnia przed obliczem twoim, widzisz. . . .

RYSZARD *chwyta go za rękę.*

Ach stóy! . . . Stóy Ludwiku nie przydaway więcey boleści twemu

zgrzy-

zgrzybiałemu Oycu. Niech ci Bóg odpuści tak, iak ia ci odpuszczam; i zapominam o wszystkim!

LUDWIK *przychodząc do zmysłow.*

O naylepszy Oycze!... twoia ręka zdaie się mnie wyrywać z tey bezdenney przepaści nad którą stoię... Już ten ponury Obłok, który w iednym momencie przyćmił moie zmysły; poczoł powoli ustępować: a promyk słodkiey nadziei, pokrzepia moie siły. Ach! nic widzę niemasz sroższego na świecie, nad gniew Rodzicielski!...

RYSZARD.

Już on mnie ominoł. Powracam ci nazad miłość moią, powróć mi tylko siebie samego.

LUDWIK.

Dobry Oycze! masz mnie u nog

twoich *pada do nog*, odpuszczaszże mi?...

RYSZARD.

Wstań jużem ci wszystko odpuścił.

LUDWIK.

Ale pamięć moich niegodziwości, podobno nigdy w sercu twoim nie wygaśnie?

RYSZARD.

Odtąd, o niczym nie chcę pamiętać; gdyż mam powróconego Syna.

LUDWIK.

O kochany Oycze!... O wielki Boże! niechże przed tobą te kaydany będą, na zgładzenie występkow moich... letko mi teraz będzie ich nosić, gdyż dostałem od Oyca przebaczenie.

RYSZARD.

Staray się tylko Brata przeprosić.

LUDWIK.

Ach Brat móy!... zkądsię on tu znalazł? wszak on był popłynął aż do Ameryki.

RYSZARD.

Powracał nazad z wielkiemi bogactwami: ale nieszczęściem! okręt iego rozbił się przy samym brzegu tuteyszego portu; i wszystko zatonęło. Z całego maiątku, został mu się tylko Murzyn, i Papuga.

LUDWIK.

Co WPan mówisz? Murzyn i Papuga?

RYSZARD.

Nic więcey móy Ludwiku.

LU-

LUDWIK.

O Boże! co ia słyszę? oniż to byli z tobą właśnie iedney nocy, prosząc się do mego Domu na noc? a ia siedząc nad kartami, ieszcze się z nich naśmiewałem.... Nie móy Oycze, to iuż przeszło wszystkie granice niegodziwości. O Boże! ileż to ia nieludzkich występkow iednego dnią popełniłem, a ty mi dozwalasz dalszego życia?...

RYSZARD.

Móy Ludwiku! mnie się zdaie; że gdybyś był wiedział, że to był twóy Brat, niedałbyś mu stać przededrzwiami?

LUDWIK.

Próżno mi to starasz się wmówić, tym bynaymniey nieuspokoisz moiey zgryzoty, gdyż nikt znać nie może lepiey mego sumnienia nademnie... Ja wtedy wiedziałem o twoim nędznym stanie... a ukrywałem

łem ſię przed tobą, i niekazałem cię puszczać do ſiebie... a iakże byłbym ſię z Bratem obszedł.. Mówisz że nie wiedziałem otym, iż to był móy Brat... Czyż każdy człowiek żyiący nie ieſt w społeczności Bratem? czy nie powinniśmy zawsze maiętnieyſi wesprzeć biednego?... ale nieſtety! nad to póżno to poznałem, kiedy opływałem w doſtatki, nie chciałem znać nie tylko człeka, ale nawet własnego Oyca: wtedy myslałem, że ieſtem pół Bogiem, ale przy tey odmianie stanu, poznaię że ieſtem równym człowiekiem naynędznieyszemu wyrobnikowi.

RYSZARD.

To szczere wyznanie znakiem ieſt prawdziwego żalu. Uspokoy ſię! porzuć tę rospacz. Powiedź mi lepiey, gdzie ſię obrociłeś, i co ſię z tobą ſtało, iakeś ztąd uciekł? mówiono mi że wſiadłeś na iakiś Okręt.

LU-

LUDWIK.

Prawda myślą moią było płynąć do Affryki i odmienić Religią.

RYSZARD.

Ach Bóg cię przecie ſtrzegł od tego.... jakżeś swoie, zdanie odmienił?

LUDWIK.

W ciągu podróży, Okręt na którym byłem rozbił ſię, wszyscy którzy tylko byli ze mną potoneli. Ja zaś niewiem iąkim przypądkiem wyratowałem ſię.... Ale chciey mi szczerze powiedzieć Oycze, czy ia znayde tak łatwego Brata. iak nalazłem ciebie do przebaczenia mi?

RYSZARD.

Ja rozumiem iż dą ſię przeprosić.... Bądź więc spokoyney myśli. Ja poyde odpocząć cokolwiek, do drugiey jzby, bo czuię ſię bydź oſłabionym na ſiłach.... *odch dzi.*

SCE-

SCENA

TRZECIA.

ŁUDWIK potym KAROL.

ŁUDWIK.

... Da ſię przeproſić ;.... Ale iakże ia będę mógł ſłowo do niego przemówić, po tylu przykrościach iemu wyrządzonych ? jakież to będzie z nim spotkanie ſię ?.... Ale trzeba ſię przygotować na iego wyrzuty ... z moiey przyczyny, prawie wszyscy ieſteśmy nieszczęśliwi.

KAROL *wchodząc*

Tóż to haniebne mieysce ma bydź nadgrodą za tyle doznanych w życiu całym przykrości Oycu moiemu ? . . . O nieszczęśliwy Synu zgrzybiałego Oyca ! już że cię pomoc moia nigdy z tąd nie wyrwie ?... Ale gdzież ieſt móy Brat ?....

LUDWIK.

Co słyszę ktoś wspomina o Oycu i Bracie.... Ach czy tylko nie Karol... Móy Brat!... o Boże doday mi siły *siada.*

KAROL.

Więzień jakiś w kaydanach... o Boże!... Ludwik!, o naymilszy Braciszku! *wyciąga ręce do uściskania, Ludwik się odwraca.* Cóż to; odwracasz się odemnie? czyż ieszcze zastarzałą nienawiść przeciwko mnie niewygasła w tobie?... Ludwiku!... okrutny Ludwiku?... niepozwolisz że mi ucałować tych ust, z których, kiedyś ieszcze był niemowlęciem, krople pozostałego mleka z piersi Matczynych, ustami swemi zbierałem?... o Ludwiku! kiedy mnie puszczono do ciebie.... kiedy mi cię pozwolono słabemi ieszcze na ten czas rękami przytulić do serca swego.... cieszyłem się sądziłem się być nayszczęśliwszym, a ty teraz odwracasz się odemnie, i niechcesz na

wzaiem uściskać twoiego Brata Karola?

LUDWIK.

Ach to ieſt gorzey ſłuchać niżeli tyſiąc obelżeń.

KAROL.

Ludwiku!... Nieszczęsny Ludwiku!... nic że cię już wzruszyć niepotrafi?... nie pozwolisz że mi się uściskać?... Ach zaklinam cię na te wnętrzności które nas nosiły!... na piersi z których braliśmy pokarm: zaklinam cię na wszyſtko co ieſt Nayświętszego!... o Bracie zakamieniały, niedodaway że przynaymniey Oycu naszemu większego umartwienia!... zapomni już o wszyſtkim co ſię kiedy między nami działo; a uważ, w iakim ſtanie ieſteśmy teraz wszyscy, i że nas przynaymniey to poiednać powinno! a jeżeli to cię niewzruszy? o to mnie masz u nóg twoich... *pada na kolana.*

LU-

LUDWIK.

Y tyż to cnota nieoszacowana przepraszasz zbrodnia, który tobie powinien być nayobmierzleyszy?... o Kochany Karolu. Ja to, ja powinienem tobie rzucić się do nóg... ale kiedy już o moich niegodziwościach zapomniałeś pódź! więc niech cię uściskam *ściskaią się.*

KAROL.

Ach! teraz przynaymniey łżey mi będzie znosić to umartwienie, które nas spotkało.

LUDWIK.

Umartwienie które was spotkało: mów raczey nieszczęście, które ia na was zwaliłem o Boże! ia na to zasłużyłem, niech więc ia ieden pokutuię, a zlituy się nad Bratem, i nad naynieszczęśliwszym Oycem moim!...

KA-

KAROL.

Uspokoy ſię Kochany Ludwiku... proszę cię?...

LUDWIK.

Uspokoić ſię? Och gdyby to być mogło!... Bracie móy;... a nadto pózno ukochany Bracie!... i tyż mi odpuszczasz wszyſtko?...

KAROL.

O niczym niewiem, o niczym więcey niepamiętam, tylko że mam powróconego Brata; którego tak dawno utraciłem.

LUDWIK.

Ach nie Brata! ale wyrodka niegodnego społeczności ludzkiey... Ale dość już, ile w tym ſtanie będąc, sądzę ſię być nayszczęśliwszym, kiedy znalazłem ciebie i Oyca tak łatwych do odpuszczenia mi moiey winy.

KAROL.

Nie trzeba było o tym powątpiwać . . . Ale gdzież iest nasz Oyciec? niemasz go tu razem? może gdzie indziey iest osadzony?

LUDWIK.

Nie . . iest tu razem zemną: położył się w tey komorce. Dozorca tego więzienia dał mu swoią pościel, a sam poszedł przynieść butelkę wina na posiłek dla niego.

KAROL.

Niech mu Bóg za to stokrotnie nadgrodzi ... Daruy mi kochany Ludwiku, że cię na moment odstąpię, i póydę obaczę może tylko tak leży ...

SCENA

CZWARTA.

CI SAMI XURY,

XURY *za Kulisami.*

Ach czemuż mnie niechcecie puścić? puszczaycie mnie! proszę was! ..

LU-

LUDWIK.

Cóż to za krzyk?

KAROL.

Jest to głos mego Murzyna.

XURY *za Kulisami.*

Ale puszczaycie mnie! puszczaycie! dam wam pieniędzy jak będę miał.... *wbiegaiąc na Teatr.* A cóż to za przeklęty narod? wszystko robią na opak. Jednych gwałtem do więzienia wloką, a mnie który się sam wpraszam, wpuścić do niego nie chcą.

KAROL.

Uspokoy się Xury, obudzisz Oyca mego.

XURY.

Oyca twego?.... a to kto?....

KAROL.

Jeſt to móy Brat.

XURY.

Ten nie dobry co to? ... Ale cô mi tam do tego między sobą wiedzcie ſię, a ja równie szanuię brata, jak i Pana *na ſtronie* Biedny! dość już jeſt nieszczęśliwy.

KAROL.

Tak też powinieneś .... Zoſtańże ſię tu przy bracie, a ja póydę do Oyca *odchodzi*.

XURY *ogląda ſię*.

O Boże! ... przypominam sobie że i ja byłem w takim mieszkaniu więcey lat sześciu; możebym do tych czas nosił na rękach i nogach podobne żelaza, gdyby nie móy dobry Pan mnie był wykupił ... w ten moment taką jeſtem wdzięcznością przeięty, iżbym chętnie dla jego miło-

łości wziął na siebie powtórnie te więzy; *całuię kaydany.* Ach! one mi przypominaią ten dzień, kiedym pierwszy raz poznał Brata twego, tego dobrego Brata.

LUDWIK.

Którego ia nie iestem nigdy godzien Bratem moim nazywać .... Poczciwy Człowieku! te pęta, wcale są innego gatunku od tych, któremi ty byłeś okuty. Twoie krępowały niewinność, a te są piętnem występnych.

XURY.

O toż ia temu zaradzę.... Już ia iestem przyzwyczaiony dźwigać podobne żelaza, będę więc prosił tych, ktòrzy was tu osadzili, aby na mię włożyli te więzy: A ty z Karolem moim Panem, będziecie Oyca wspierać w iego nędzy.

LUDWIK.

Kochany przyiacielu! ... Chęć

two-

twoia równa ſię uczynkowi ... Ale gdyby tak naſtąpić miało, to jabym nigdy na to nie zezwolił, aby poczciwy człowiek cierpiał za winnego.

XURY.

Co? . a kiedy ci Oyciec przykaże? .. Ale wiem co zrobię: jak obaczę tego niegodziwego Siwca w czarnym ubierze, zaraz mu to powiem... a wiem że on z ochotą na to zezwoli.

SCENA
PIĄTA.

Ci sami i RUZIA niosąc butelkę i chleb w serwecie.

RUZIA.

Znalazłam cię przecie móy Xury?

XURY.

Ach? czegoż jeszcze ty chcesz odemnie? RU-

RUZIA.

Nic więcey, tylko żebyś tę serwetę zaniosł Panu Ludwikowi; Bratu Pana Karola.

LUDWIK.

Komu, mnie?... o kochane dziewcze! któż ciebie z tym do mnie przysyła?

RUZIA.

Móy Oyciec... o Boże! WPan że to? jakeś się to WPan odmienił przez ten rok nie zupełny... nigdybym WPana nie poznała... Jaki to WPan byłeś ładny kiedyś koło nas mieszkał...

LUDWIK.

Miła Panienko powiedz, kto jest twóy Oyciec.

XURY.

Oyciec jey jest bardzo człowiek poczciwy, nazywa się Reder Rybak.

LUDWIK.

Ten Rybak, z którego Chałupy wzięto Oyca mego?

XURY.

Ten sam.

LUDWIK.

On jak pamiętam był w nędznym ſtanie?

RUZIA.

Gdybyśmy też byli bogatemi, nie dopuścilibyśmy ani WPanu, ani jego Oycu zoſtawać w tym mieyscu.

SCENA

Szósta.

Ci sami i PASTOR Sangloz.

PASTOR S.

Wszak ja przykazałem żeby do nich nikogo nie puszczano.

XU-

XURY.

Czy to WPan jesteś Dozorca tego mieszkania?... bardzo przepraszam żem tu wszedł bez jego pozwolenia.

PASTOR.

Co ty mówisz?.. nie znasz to kto ja jestem i jaką noszę na sobie sukienkę

XURY.

Sukienka twoia nie winna temu że ty masz podły charakter.

PASTOR. S.

Poczekay Panie śmiałku z tobą się potym rozmówię ... *do Ludwika* Ho! podły nędzarzu, kontent jestem że mi cię Bog podał w ręce; przynaymniey się nad tobą pomszczę.

LUDWIK.

Cożem WPanu złego uczynił?

PA-

PASTOR.

Coś uczynił? już to zapomniałeś wiele tu w tym mieście biednych pokrzywdziłeś przez swoią ucieczkę? ... Zapomniałeś wiele długow narobiłeś, które ja musiałem poopłacać.

LUDWIK.

Cóż WPanu było powodem do opłacenia mych długow?...

PASTOR.

Co było powodem? ... Oto.... Miłość blizniego! Mógłżebym ią będąc Duchowną osobą, słuchać ięku biednych; których ty pooszukiwałeś?

LUDWIK.

Ci wszyscy którym ia byłem winien, nie byli, ani są tak ubogiemi, ażeby mieli utyskiwać na moią ucie-

czkę

❧)(❧

czkę . . . Przy tym, nie mało odemnie profitowali. . . . Ale niech i tak będzie . . . mijam to, a uciekam się do litości WPana samego . . . . Kiedy się ulitowałeś nad iękiem tych, którzy są w stanie dość dobrym. . . . Ulituy się nad nędznym Oycem moim, który zemną razem ięczy w niewoli. . . uwolniy go! . . . na kolanach cię oto proszę! ia na to zasłużyłem, niech ia sam pokutuię.

P A S T O R. S.

Pódź precz. Ja żałuię iak pies że i Brata twego razem nie wciągnołem do tey sprawy.

X U R Y.

Mego Pana?

R U Z I A *na stronie.*

O niegodny! . . .

LU-

L U D W I K.

Cóż móy Brat WPanu winien?

P A S T O R S.

Wszyscy wy iedno znaczycie, będąc ſedy razem w niewoli, przynaymnieybyście mi procent odrobili.

X U R Y.

O odrobienie ci chodzi? . . . Słuchayno co ia ci powiem. Ich trzech nigdy tego nie dokażą w robocie, co ia ieden: zdym tylko te kaydany z niego, a włoż na mnie! . . . a doznasz że ia za trzy dni więcey zrobię, niż oni za cały Tydzień.

P A S T O R S.

Ciebie okuć na ich mieyscu? . . . ciebie? . . . cha! . . . cha! . . . cha! . . . śmiać mi się chce. Y cóżbym ia miał

za

za ukontentowanie z takiego Więźnia. Nad niemi, przynaymniey zemsta moia nasyci się!

XURY.

Zemsta twoia nasyci się?... zemsta?... a ty podły Hypokryto pokryty płaszczykiem świątobliwości... Czyż nie dosyć masz na tym, że popełniłeś występek podług twego stanu nayszkaradnieyszy... ieszcze do tey zaiadłości przychodzisz, że nawet sam nie wiesz co mówisz.

PASTOR S.

Słuchay no... stulże tę gębę!... bo ia ci ią stulę ty Barbarzyńcze.

XURY.

Barbarzyńcze?... żeby nie w tym mieyscu, pokazałbym ci co umie Barbarzyniec, kiedy go słuszna do gniewu zapala zemsta...

Wiedź

Wiedz że otym nayniegodziwszy człowieku, że Barbarzyniec który nie zna innego Boga, prócz samo prawo Natury; więcey ma litości nad podobną sobie istotą; niż ty, który się mienisz być Namieśnikiem Boga prawego, a naywiększe popełniasz zbrodnie.

RUZIA.

Xury uspokoy się, proszę cię!

SCENA

SIÓDMA.

Ci sami RYSZARD, KAROL.

RYSZARD.

Co widzę, on tu iest?

PASTOR *postrzegaiąc.*

O kłaniam Mospanie!... winszuię WPanu szczęsliwego woiażu

do

do Ameryki!... Cha! Cha! Cha!... Jakiemi pięknemi rekwizytami Jegomościn Okręt ładowany.

KAROL.

Ach to się śmierci równa!

XURY.

Pozwol no mnie Panie. Ja go tu wnet ztąd wysadzę.

KAROL.

Day pokoy Xury, Bóg sam zemści się kiedyś naszey krzywdy.

RYSZARD.

Ach! Mości Panie Pastor; gdzież iest litość? gdzież ona powinna znaydywać się, ieżeli nie w tym siwym włosie którym okryty iesteś?

PASTOR S.

Litości mam aż nadto nad tobą

ba zgrzybiały Zbrodniu, bobym cię natychmiast kazał powiesić, a twoich Synow....

XURY.

Ach to do niezniesienia!... Panie!... iuż niewytrzymam dłużey.

RYSZARD.

Xury uspokoy się!... niech Jegomość mówi co mu się podoba.... Mospanie Pastor! trzymaiąc nas w niewoli, naymnieyszey nawet nadziei mieć nie możesz do odebrania swoich pieniędzy; ale podam WPanu srzodek za którym...

PASTOR S.

Jakiż to przecie srzodek?... może macie iakiego Przyiaciela co za was zapłaci?

RYSZARD.

Zadnego nawet znaiomego niemam. Ale to iest ten srzodek. Uwolniy moich Synow, są ieszcze

mło-

młodzi; a przy ich pracy i ſtaraniu, może Bóg pobłogosławi: będą ſię ſtarać ażeby iakimkolwiek sposobem wypłacić WPanu. Wzaład zaś ia na ich mieyscu tu zoſtanę...

PASTOR.

Y iabym kontentował ſię tobą iednym za tysiąc czerwonych złotych: żeby was i ſtu takich było, to ieszcze nie dosyć.

LUDWIK.

O ja naynieszczęśliwszy!...

KAROL.

Już niema żadney nadziei ratowania ſię.

RUZIA.

Poſłuchaycie no mnie! ia wam podam ieden proiekt; a wiem że na niego przyſtaniecie.

XURY.

Ach kochana Ruziu! mów iak nayprędzey.

PASTOR S.

Jakiż to przecie?

RUZIA.

Założyłabym się iż Lady Amelia nie wie o waszym nieszczęściu; i gdyby tu była, wiem po jey charakterze że niedopuściłaby was więzić, i opłaciłaby Pana Pastora. Gdyby ią tedy iakim sposobem można uwiadomić....

PASTOR S.

Tak iest toby wam nic nie dała *na stronie*. Do Diabła żeby ona dowiedziała się o moiey intrydze, a uwiadomiła zwierzchność to zemną bardzoby zle było...

RYSZARD.

Nie Ruziu, Amelia nie dla cze-

czego innego odiechała, iak tylko muſiała ſię dowiedzieć o awanturze ...

RUZIA.

Nie myslcie tak móy Oycze, wcale insza iakaś tego musi być przyczyna. Ale nie traćcie czasu na daremnie, a słuchaycie mnie... Panie Karolu iedź WPan pocztą za Amelią, upewniam...

KAROL.

Pocztą? ... ale za czym, kiedy i szeląga nie mam przy duszy?

RUZIA.

Ja temu poradzę. Oto masz WPan w tych sakiewkach 30 czer-zł: biegay WPan prędzey naymuy konie i goń ią....

RYSZARD.

Ulubione Dziewcze!

LUDWIK.

Co za serce Anielskie!

KAROL.

Kochana Ruziu! ia się na to odważyć nie mogę, ile będąc od niey wzgardzonym.

XURY.

Więc ia WPana wyręczę. Za twoią wspaniałość kochana Ruziu życia bym swego nie żałował. Day mi te pieniądze.

PASTOR.

Tam do Diabła. Ach zginołem trzeba temu zapobiedz *głosno.* Ty ztąd wyiść nie możesz!

XURY.

to?...

PA-

P A S T O R.

Ty który mnie w tym mieyscu po kilkakrotnie żelżyłeś, musisz także siedzieć póty, póki za to słuszney kary nie odbierzesz.

X U R Y.

Zelżyłem, ale nie wybiłem. A ieżeli mam karę odebrać, to będę wiedział za co.

P A S T O R.

Jak to? tybyś mnie śmiał...

X U R Y.

Tylko się nie ustąp ode drzwi, to obaczysz co się z tobą stanie.

P A S T O R *uderza go kiiem.*

Jako ty Łotrze!...

X U R Y.

A ty niegodziwa bestyo! *porywa Pastora za łeb i biie.*

RYSZARD, KAROL. *Rozbraniaią, ale nie mogą obronić*, Xury co robisz? dla Boga Xury!

P A S T O R.

Ay gwałtu!... gwałtu! ratuycie dla Boga!

X U R Y.

Mam pokutować niechże wiem za co, *biie.*

P A S T O R.

Ay gwałtu!

S C E N A

O s m a.

Ci sami INSTYGATOR, RYBAK.

IN-

INSTYGATOR.

Cóż to iest, co się to znaczy?

RYBAK.

Xury czy ty oszalałeś?

XURY.

Oy nie: iestem przy dobrych zmysłach.

PASTOR.

Otóż mam was za Swiadków, że mnie chcieli udusić.

INSTYGATOR.

Znać że tu WPan bez potrzeby przyszedłeś... Ale to na stronę...: Poczciwy Staruszku iesteście wolni.

RYSZARD.

Co WPan mówisz?... Wolni!..'

KAROL.

O Boże, dzięki tobie!

PASTOR.

Ktoż tu ich ma prawo uwolnić?

INSTYGATOR.

Potym się WPan dowiesz.

PASTOR

Po tey Akcyi która się tu stała, nie mogą być wolnemi: to iest wcale rzecz nowa.

INSTYGATOR.

Na wszystko WPanu odpowie Pastor Valle, który ich bierze na porękę.

PASTOR *na stronie.*

Pastor Valle!..., o nieszczęście zginołem.

RY-

RYBAK.

Już on iest uwiadomionym o WPana postępkach: opisali w Kancellaryi bardzo pięknie iego tu rządzenie się. Już nawet wiemy iaką WPan intrygę zrobiłeś między Panem Karolem i Amelią Bettford.

KAROL.

Co za intrygę?

PASTOR.

Cóż to ty mówisz?

RYBAK.

Wiem ci ia co mówię, idź no WPan do niego! to się sam lepiey o wszystkim dowiesz.

INSTYGATOR.

Nie traćmy czasu, rozkuć go!..

Czy niema tu kogo żeby ten List zaniosł do Pałacu Biskupiego, i oddał go Kamerdynerowi Pastora Valle ... Bo ja nie mam czasu odnosic a posłać nie mam wcale kogo.

XURY.

Ja nie wiem tego pałacu.

RUZIA.

Odniosę ią.

PASTOR.

O Boże zginąłem! Jak tu się z tego wykręcić? trzeba wyszukiwać sposobu *odchodzi*.

INSTYGATOR *podaiąc List*)

Powiedz moia Panienko, że to jest od Pastora Valle iego Pana ... Tylko nieś go prędko, bo muśi byc tu coś ważnego, kiedy go Pastor pisał w Kancellaryi.

RU-

R U Z I A.

Bardzo dobrze *odchodzi.*

K A R O L.

O zdarzenie nadspodziewane! Ale powiedzcie mi iak to się stało?

R Y B A K.

Własnie Pastor na ten czas przyszedł przed moią chałupę, kiedy was poprowadzono, i pytał się o przyczynę zamięszania.... Ja mu powiedziałem, że was wzięto do niewoli za długi ... Ten dobry Pastor! kazał mi pokazać sobie pałac Biskupi: ja idąc drogą opowiedziałem cały wasz stan, i przypadek dzisieyszy. Co on wysłuchawszy, prosto poszedł do kancellaryi, i przyrzekł że wszystkie długi za was zapłaci, byleby was uwolniono. Był na ten czas i Prezydent tuteyszy, zaraz tedy was kazał uwolnic.

RY-

RYSZARD.

Niech mu Bóg nadgrodzi!

LUDWIK.

O Boże!.. ta tak nagła odmiana!... Ach siły utracam... *Słabieie.*

INSTYGATOR.

Cóż to jest?... Hey jest tam kto?... *wchodzą Zołnierze.*

RYSZARD.

Cóż mu się to stało?

KAROL.

Ludwiku!

LUDWIK.

Nic to..., w cale nic... zgłodniały... tyle utrapienia... ta odmiana... ach wyprowadzcie mnie na swieże powietrze!

IN-

INSTYGATOR.

Zanieść go do moiey stancyi, i położyć na łożku, nie turbuycie się o niego każę go pilnować... A ty Reder idż tam, gdzie ci Pastor kazał.

R E D E R.

Ale iakże, kiedy Pan Ludwik nie może iść z nami?

INSTYGATOR.

Powiesz że osłabiony został u mnie.

R Y S Z A R D.

A gdzież to on miał iść?

R Y B A K.

Rozkazał mi Pastor ażebym was wszystkich zaprowadził do krawca, i poprzybierał suknie, za które on miał zapłacić: i żebym z wami przyszedł do niego.

KA-

)(

KAROL.

Idzcie z moim Oycem, ia się przy bracie zostanę. A ieżeli się to... mu poprawi.

INSTYGATOR.

To być nie może; musisz WPan iść podziękować za iego łaski, o Ludwiku nie turbuy się, każę mieć o nim pilność... No idzcie nie traćcie czasu na daremnie.

RYSZARD.

To iuż idźmy.. Mospanie! za WPana łaskę któraś dla nas biednych okazał, niech Bóg będzie nadgrodą.

Koniec Aktu czwartego.

AKT

AKT PIĄTY

Teatr okazuie pokoy Pastora Valle, w którym sepety, kufry porozstawiane bez porządku iak dopiero z podroży.

SCENA

PIERWSZA.

MIKOŁAY, MAŁGORZATA, KAROLEK

MIKOŁAY.

Poprząta pokoy, Małgorzata czesze głowe Karolkowi.

MAŁGORZATA.

Co to iest, że naszego Pana nie widać tak długo?

MI-

MIKOŁAY.

W cale się niemogę domysleć, gdzie on się bawi.

MAŁGORZATA.

Ach z iakąż niecierpliwością oczekuię tego momentu, w którym będę, mogła poznać Oyca, i Siostrę twoią!

MIKOŁAY.

Y ia pałam chęcią przywitania się z niemi razem pokazania mu ciebie, i mego kochanego karolka.

MAŁGORZATA.

No moy Karolku! pamiętay o tym, że iak cię pokażę Dziadulkowi, żebys się z nim pięknie przywitał, żebyś go w rękę pocałował... Bo on więcey u ciebie znaczyć powinien, niż twóy Tatulo.

KAROLEK.

Dobrze Mama.

MIKOŁAY.

Jeżeli Karolek tak zrobi jak Mama uczy? to ja mu każę parę sukienek zrobić... Będziesz że pamiętał, co ci Mama mówiła?

KAROLEK.

Będę.

MIKOŁAY.

O moia ulubiona Małgosiu! nieposiadam się z radości, gdy sobie wystawiam ten moment, w którym cię pokażę Oycu memu! Ach jakże tego długo czekałem!

MAŁGORZATA

Y jak długo ieszcze tego czekać?

MIKOŁAY

Spo-

Spodziewam się, że naydaley po południu, obaczemy się z nim.

SCENA

DRUGA.

Ci sami i RUZIA

RUZIA.

Wchodzi y kłania się Mościa Pani! gdzie tu iest Kamerdyner Pastora Valle?

MIKOŁAY

Czegoż to od niego chcesz moia Panienko?

RUZIA.

Oto ten bilet kazano mu oddać.

MIKOŁAY.

Odday że mi go! *spogląda na Ruzię* O Boże! co ia widzę?

RUZIA.

Ach co to iest?.. Mikołay!..

MIKOŁAY.

Kochana Ruzia!... O przypadku nayszczęśliwszy! Jak się masz kochana Siostro! *ściskaią się*

RUZIA.

O Mikołaiu! kochany Mikołaiu! Z kąd się ty tu wziołeś? gdzie dotąd byłeś? .. Czemu do nas nie przyiechałeś?...

MIKOŁAY.

Ruziu! kochana Ruziu! Ja z wielkiey radości na iedno pytanie nie iestem w stanie odpowiedzieć; a ty mi ich kilka razem zadaiesz. Ale nim ci na iedno z nich odpowiem, uściskay pierwey twoią Bratowę, i Bratanka.. Małgosiu! to iest moia Siostra.

RU-

R U Z I A.

To moia bratowa? Ta, śliczna Kobieta moia Bratowa?... a to móy bratanek *sciſka i całuie raz Małgorzatę, a drugi raz Karolka.* Ach ſił mi nie ſtaie do wynurzenia tego, co ſię w ſercu moim dzieie.

MAŁGORZATA.

Kochana Sioſtro! długo czekałam tego pożądanego momentu, żebym ſię z tobą mogła poznać.

R U Z I A.

Nie poſiadaiąc ſię z radości biega i ściſka w koley wszyſtkich. Ach ſama nie wiem z kim ſię mam więcey sciſkać? wszyſtkie ukochane, wſzyſtkie ulubione oſoby... Ale muszę moią radość na czas zawieſić, a póydę poszukam Oyca, i oznaymię mu o tobie. Ach iakaż iego radość będzie.

MIKO-

MIKOŁAY.

Ach zmiłuy się Ruziu! nie czyń tego.

RUZIA.

Jak to; nie chcesz żeby cię Oyciec widział. A to byé nigdy niemoże.

MIKOŁAY.

Y owszem, naytusilniey żądam tego. Ale móy Pan zabronił mi tego, do iakiego czasu.

RUZIA.

Więc Pan twóy iest niesprawiedliwy, kiedy ci zabronił tey roskoszy.

MIKOŁAY.

Nie moia Ruziu. Pan móy iest bardzo dobry. Ale nim ci o nim po-

wiem, niech pierwey obaczę, co on do mnie pisze?

RUZIA.

Niech będzie co chce, muszę Oyca uwiadomić, *chce odchodzić.*

MIKOŁAY.

Zaklinam cię zatrzymay się, bo mnie zgubisz!

RUZIA.

Otoż w co się moia radość zamieniła, twóy Pan tak nie dobry.

MIKOŁAY.

Pozwol mi tylko List przeczytać, może czego pilnie potrzebować?... a potym ci powiem o nim; a sama przyznasz że on to nie czyni z żadnego kaprysu.

RU-

RUZIA.

Niechże i tak będzie, iak ty chcesz.

MIKOŁAY.

Moment cierpliwości. *Czyta*,, Pa-
,, nie Mikołaiu! widziałem się z two-
,, im Oycem: i wciągu rozmowy po-
,, znałem go. Przyznaię, że iest go-
,, dzien mieć takiego Syna iak ie-
,, steś. . . . Przykazuię ci ieszcze
,, raz iak naysurowiey, ażebyś mu
,, się nie pokazywał dotąd, póki ia
,, sam na to nie będę patrzał. Nie
,, wiele po tobie wyciągam: . . chcę
,, tylko mieć ukontentowanie, widzieć-
,, was witaiących się,, No słyszałeś Ruziu, dla czego mi zabrania widzieć się z Oycem?

RUZIU.

Niechże będzie tak, iak mu się podobało.

MIKOŁAY *kończy czytać.*

" Kawa niech będzie gotowa, " ia w moment nadeydę " ... Małgosiu! idź przystaw kawę do ognia.

MAŁGORZATA.

A Siostra tu się zostanie, czy zemną póydzie? Ach! . . . bo ia się nie mogę nacieszyć!

RUZIA.

Ja sama nie wiem, gdyż mi tu iest wszystko miłe.

MIKOŁAY.

Będziesz miała dość czasu nabawić się z Siostrą zostaw ią tu przy mnie.

MAŁGORZATA.

Bardzo dobrze *odchodzi i bierze Karolka.*

RU-

RUZIA.

A ia Karolka nie puszczę, niech się tu zostanie.

MAŁGORZATA.

Niechże się zostanie. Karolku zostań się przy Ciotuli, *całuie przy tey kochaney Ciotuli! odchodzi.*

SCENA

TRZECIA.

MIKOŁAY, RUZIA, KAROLEK.

RUZIA.

Móy Karolku! niespodziewałam się być dzisiay w tak miłey dla mnie gościnie; dla tego nie mam żadnego gościnca. Ale drugi raz, będę o nim pamiętała... Móy Braciszku powiedź

mi, iakim przypadkiem tu iesteś, jak się ożeniłeś, a naylepiey powiedź mi całą Historyą życia twego .... *w ciągu kwestyi Mikołaja, Ruzia siedząc, ustawicznie bawi się z Karolkiem.*

MIKOŁAY.

Muszę twoim żądaniom zadosyć uczynić... Ale trzeba się pilnować żeby czasem Pan nie przyszedł... No słuchayże mnie teraz... Kiedy pożegnawszy was puściłem się na morze, byłem zdrów zupełnie; ale nie wiem z iakich przyczyn, w pięć Niedziel po odbiciu tego Okrętu, na którym byłem od Portu tuteyszego, bardzo zachorowałem. Złożono mnie tedy w Szpitalu; który móy Pan wystawił dla podróżnych. Nie pamiętałem nawet tego, iak mnie tam złożono; nie wiedziałem nawet gdzie iestem dotąd: aż się choroba zaczeła przesilać. Naypierwsza osoba była, którą na ten czas uyrzałem, moia terazniey-

sza-

sza Zona, która była Córką Gospodyni naszego Łazaretu; i ta opowiedziała, gdzie iestem, i co się zemną stało. Za pilnym tedy dozorem Felczerow, poczołem przychodzić do zdrowia. Pan móy, iak o wszystkich, tak też i o mnie pilne miał staranie. Często to było, że w nieprzytomności Kalefaktora, i Gospodyni, sam chorym usługiwał: i nie było tego dnia, ażeby naymniey czterech razy, nie odwiedził swoiego Łazaretu.... Gdym tedy ozdrowiał, pomagałem ile sił moich stawało usługiwać chorym, przez co, podobałem się memu Panu; ktory, innych wychodzących ze Szpitala, opatrywał na drogę, i puszczał gdzie który chciał: mnie zaś wziął na swoie usługi. Z ktorego zdarzenia bardzo byłem kontent... Za iego tedy pozwoleniem ożeniłem się z tą Kobietą.

RUZIA.

Twóy Pan musi być z wielkiey Fa-

Familij, kiedy tyle dobrych uczynkow uczynił. Wszak to on tu, za iednych mizerakow zapłacił Dłużnikowi tysiąc czerwonych złotych, i okupił ich z niewoli.

MIKOŁAY.

Nie pierwszy to iego uczynek. Co się zaś tycze iego urodzenia, nie iest on z wielkiego Domu: nawet nie iest bogatych Rodzicow... Gdy wyszedł z Seminaryum, otrzymał to Beneficium, gdzie ia się do niego dostałem. Naypierwszą iego starannością było, dochod Kościelny obrócić na taki fundusz. Wybudował tedy Szpital, w którym raz na zawsze zostawił fundusz na dwódziestu chorych... Sąsiedzwo, i Parafia; widząc go tak dobrze rządzącego się z ochotą mu we wszystkim dopomagaią. Y tak mu nigdy na niczym nie zbywa.

RU-

RUZIA.

Ach iak to iest wielka różnica między nim, a naszym Pastorem.

MIKOŁAY.

O tym iego rządzeniu się doszła wiadomość do Króla; który w nadgrodę iego zasług, mianował go tuteyszym Biskupem. Otoż iest cała Historya i moia, i mego Pana.

RUZIA.

Taką rzeczą, już tu na zawsze przyiechaliście?

MIKOŁAY.

Tak iest, na zawsze... Ale co widzę? móy Pan idzie z iakimsiś starym Pastorem... Ach idź do moiey Zony, żeby cię tu nie zastał.

RUZIA.

Ale . . .

MIKOŁAY.

Ale nie ociągay się proszę cię, bo wolałbym naywiększe nieszczęście, a niżeli choć na moment utracić iego łaskę.

RUZIA.

Chodźmyż Karolku do Mamy *odchodzą.*

SCENA

Czwarta.

PASTOR VALLE, PASTOR SANGLOZ.

P. VALLE.

Jużem raz powiedział WPanu, że

że żadney kwitacyi nie przyimę od WPana, ani iey żądam. Gdyż my do siebie żadney pretensyi nie mamy.

P. SANGLOZ.

Jednakże to zaręczenie, i założenie pieniędzy w Kancellaryi...

P. VALLE.

Za tych biednych ludzi?... to do nich należy. Kończ więc WPan z niemi sprawę.

P. SANGLOZ.

Lecz ia, który się nigdy w życiu moim nie prawowałem?...

P. VALLE.

Oczywiście... ale podstępnie wiele razy?

P. SANGLOZ.

Jak to Mości Dobrodzieiu?

P.

P. VALLE.

Kiedy ſię WPan nie prawowałeś: iakimże ſposobem otrzymałeś Dekret w Bremie na tego biednego Bankruta?

P. SANGLOZ.

To... To ſię ſtało bez moiey wiadomości.

P. VALLE.

W ſamey rzeczy bez wiadomości WPana?

P. SANGLOZ.

Przyſięgam! na to co ieſt Nay...

P. VALLE.

Stóy WPan... Stóy! nie przyſięgay ſię. Wierzę WPanu... A dziś rano, także bez wiadomości WPana ich aresztowano.

P.

P. SANGLOZ.

To tylko był żart. Bo czy mógłżebym ia, ile będąc Duchowną Osobą dopuścić się kiedy...

P. VALLE.

WPan się mi bardzo dobrze tłómaczysz: bardzo ślicznie... ale iednak WPan musisz mieć w tym mieście bardzo wiele Nieprzyiacioł? Ponieważ na pierwszym wstępie moim, wiele rzeczy nie dobrych o WP. mowili.

P. SANGLOZ.

Ktoraż Cnota nie iest prześladowaną? ale ia to wszystko Bogu memu ofiaruię.

P. VALLE.

Prawda i to... iednakże dla przekonania WPana nieprzyiacioł; będę musiał zwokować Synod Dyecezalny,... gdyż sam ile przy pierwszym obięciu Dyecezyi, nie chce

się

ſię tym zatrudniać... Będę tedy muſiał złożyć Synod z ſamych Proboszczów tuteyszey Dyecezyi, i tam ſię WPan usprawiedliwisz, a razem zawſtydzisz ſwoich Nieprzyiacioł; *dzwoni, Mikołay wchodzi.*

MIKOŁAY.

Co Pan roſkaże.

P. VALLE.

Day mi Kawę... *Mikołay odchodzi*, może i Pan Paſtor wypiie Filiżankę kawy.

P. SANGLOZ.

Nigdy iey nie piiam, *na ſtronie.* Ach gdyby to była trucizna!

P. VALLE.

A czy znasz WPan Lady Amelia Bettford? *Mikołay przynoſi Kawę, Paſtor nalewa i piie. Mikołay odchodzi.*

P. SANGLOZ

Tak... z widzenia.

P. VALLE.

Nie wiesz też WPan przyczyny ley odiazdu?

P. SANGLOZ.

Na stronie. Cóż mu powiem?

P. VALLE.

Ja się pytałem, czy nie wiesz WPan dla czego ona z tąd wyiechała.

P. SANGLOZ.

Wcale nic nie wiem.

P. VALLE.

J to WPan rzetelnie mówisz?

P. SANGLOZ

Tak, iak iest Słońce na Niebie.

P.

P. VALLE.

A iuż też cierpliwości mi nie ſtaie ſłuchać daley WPana... w tak podeszłym wieku, tyle fałszu... ale dość iuż tego: nie potrzebnie wdałem ſię z *WPanem* w rozmowę dla mnie nie przyzwoitą... masz WPan dość czasu do przygotowania ſię na odpowiedź, przed Plebanami, którzy ſię będą znaydować pod czas Synodu... Szczęśliwy ieżeli ſię będziesz mógł usprawiedliwić; lecz ieżeli nie?...

SCENA

PIĄTA.

Ciż i ŁUKASZ.

ŁUKASZ.

Powróciłem Panie.

P. VAL-

P. VALLE.

Tak prędko: gdzieżeś zastał Lady.

ŁUKASZ.

Wraz przyiedzie do Pana.

SANGLOZ *na stronie*.

Ay zginąłem.

P. VALLE.

Cóż to: czy nazad przyiechała?

ŁUKASZ.

Spotkałem powracaiącą. Szczęściem poznałem Lokaia Jakuba, który u Nieboszczyka iey Męża służył. J ten mi powiedział przyczynę iey tak nagłego z tąd wyiazdu.

P. VALLE.

Jakaż tego była przyczyna.

)(

ŁUKASZ.

Nic więcey, iak tylko Jntryga tuteyszego Proboszcza, o którey się dowiedziała u Milady Burgos...

P. SANGLOZ *na stronie.*

Ach! iak tu się z tego wykręcić?

ŁUKASZ.

Jak tylko przyiechała, kazała zaraz szukać iakiegoś Karola Westerland. Ale iey powiedziano, że tenże Pastor, napadłszy w nocy na dom w którym on był z Oycem, kazał ich pobrać i osadzić w niewoli.

P. SANGLOZ. *na stronie*

Ay! ay! ay! Już po mnie.

ŁUKASZ.

Wpadła tedy w naywiększą cholerę na tego Pastora, i natychmiast posłała starego Krystyana...

P. VAL-

P. VALLE:

I ten staruszek iest przy niey?

ŁUKASZ:

Iest Panie· Otoż iego posłała do Prezydenta, prosząc ażeby ich uwolnił: zaręczaiąc oraz, iż iakie pretensye na nich się okażą, ona sama chce opłacić. Roskazawszy to Krystyanowi iak nayprędzey uskutecznić, sama wsiadła do poiazdu, i iedzie tu do Pana. Ja zaś pospieszyłem prędzey, dla uwiadomienia Pana o tym.

P. VLLE

Dobrześ zrobił. : : No! Mospanie Pastor; co W Pan na to mówisz?

P. SANGLOZ

Ja mówię, : . że to iest rzecz zmyślona.

P. VALLE.

Tym lepiey dla WPana. Jeżeli

tedy WPan iesteś pewnym swoiey niewinności? tedy możeż się zostać... Lecz ieżeli tak iest iak mi mówiono? tedy życzyłbym nie mieszać nam spokoyności swoią bytnością. Gdyż przytomność WPana byłaby nieznośną dla Amelii, sam to WPan znasz, ia wyidę naprzeciwko iey, *odchodzi z Łukaszem.*

SANGLOŻ Sam.

A czy mi wszyscy Diabli nadali tyle kłopotu w iednym dniu? spodziewałem się bardzo wiele zyskać, a ia swoie utraciłem. Co za nieszczęście . . . nigdym się nie spodziewał takowego przypadku . . . Ale to nic ieszcze, przeciwko temu, co mnie czeka . . . Ja sądzony przez Plebanow . . . Zapewne przyidzie do tego, że i moie Beneficium odbiorą, i cały móy maiątek, krwawo zapracowany, będzie poświęcony ich łakomstwu . . . a kto wie co się zemną stanie

nie ? . . . ale nie, nie będę tego czekać, póydę, zabiorę co będę mógł, i wsiądę na naypierwszy Okręt, który tylko będzie u Portu, choćby płynął i do Turek : wolę raczey zostać Muzułmanem, aniżeli świecić oczami przed zborem tych ! . . . Ale co widzę ? już nadchodzą ; umykaymy tylnemi schodami ! *odchodzi.*

SCENA

SZÓSTA.

AMELIA, PASTOR VALLE.

PASTOR VALLE.

Ale co to znaczy kochana Kuzynko ? Przeciąg czasu, ze wszystkim WPanią odmienił. Z tey to wesołey, z tey zabawney Amelii ? tak roztargniona, zamyslona, powiedź mi Amelio co iest przyczyną tey odmiany ?

AME-

AMELIA *na stronie.*

Ach, coż mu powiem!

P. VALLE.

Cóż to; nie odpowiadasz na to? No, to przynaymniey może mi Kuzynka powie, dokąd to iezdziłaś?... może na spacer?...

AMELIA.

... ... Kochany Wuiu! nie zadaway mi żadnych pytań, gdyż na żadne nie iestem w stanie teraz odpowiedzieć. *Na stronie* ach! po cóż mu tak prędko dałam się widzieć?... sama siebie nie znam...

P. VALLE *na stronie.*

Jakże zmartwiona? Trzeba ią rozweselić, *głośno.* Ale powiedz mi moia Amelio! co cię w tak zły hu-

mor

mor wprawiło: może iakie nieszczęście? Czy nie zdechła czasem ta Papuga, o którey mi wspominałaś w Liście przeszło-rocznym, ta coś to od Murzyna kupiła: Cóż, czy żyie ona ieszcze?...

AMELIA *na stronie.*

Ach! Papuga...

P. VALLE.

Apropos Papuga! Jakże ią mam nazywać, czy Lady Bettford; czy jakim innym nazwiskiem?... powiedżże mi! czy iuż iesteś po Szlubie?... Pisałaś do mnie że miał być w tym Miesiącu... gdyż ia obarczony interessami zapomniałem się oto nawet pytać tuteyszych... ale nie tak zapomniałem, iak raczey zostawiłem to zapytanie dla Jey samey.... no jakże... odpowiesz mi na to zapytanie?

AME-

AMELIA.

O cóż mię się WPan pytałeś ?

P. VALLE.

Oto, czy iuż wziełaś Szlub z tym to poczciwym iak sama pisałaś Karolem ?

AMELIA.

Daruy kochany Wuiu to moie zapomnienie się! które WPanu daie powod żart ze mnie czynić, ja zaś z ochotą ten żart przyimuię... Ale wolno mi też będzie zapytać się WPana, co go tu do nas sprowadza: i dla czego mnie w żadnym Liście nie uwiadomiłeś o swoim tu przyieździe ?

P. VALLE.

Na drugie zapytanie odpowiadam. Dla tego o tym nie oznaymiłem, że spodziewałem się zawsze ią tu zastać. Gdyż w każdym Liście pisanym do mnie, wychwalałaś tutey-

tey-

teyszą rezydencyą, żę iest nayroskosznięyszą! Co zaś na pierwsze pytanie nie odpowiem, aż póki na moie nie będę miał odpowiedzi.

AMELIA.

Zapomniałam o co to byłam pytąną?

P. VALLE.

Oto, czy iuż po Szlubie iesteś?

AMELIA.

Ach!... *miesza się.*

P. VALLE.

Cóż?...

AMELIA.

Jeszcze nie.

P. VALLE.

Tym lepiey. Otoż ia WPani przywiozłem Męża.

AMELIA.

Jak to!... co WPan mówisz?

P. VALLE.

To, że ia przywiozłem iey Męża *uśmiecha się.*

AMELIA.

Jakiego Męża?

P. VALLE.

Takiego, iaki wiem że się WPani podoba.

AMELIA.

Podoba się?... skądże ta pewność?... nie chcę nawet wiedzieć o nim, nie chcę nawet widzieć go... o Boże! tegoż ieszcze brakowało do mego umartwienia? Ja u mego Wuia spodziewałam się znaleść ulgę w umartwieniu, a ia...

P. VALLE.

Aleź Amelio! iak iesteś popędliwa?

wa? pomiarkuy się, czymże ia ią tu martwię? ia tylko zaproponowałem iey Męża, ale do woli to WPani przyiąć go, albo nie. Wszak iesteś iey Panią.

AMELIA.

Ponieważ iestem Panią swoiey woli: spodziewam się, iż mi Wuy Dobrodziey pozwoli odiechać do Dobrodziey pozwoli odiechać do Domu, a iak mi cokolwiek ulży ciężaru który noszę na sercu, przyrzekam iż przyiadę: gdyż teraz, zapewnebym go znudziła?

SCENA
SIÓDMA.

Ciż i ŁUKASZ.

ŁUKASZ.

Jacyś ludzie przyszli do Pana.

PAS-

PASTOR V. *pomieszany.*

Ach to zapewne oni będą, *głośno niech zaczekaią. Łukasz odchodzi, do Amelii*, kochana Amelio! iuż cię więcey niczym martwić nie będę, i spodziewam się, że cię większa tu radość spotka, aniżeli się iey spodziewasz. . . Ale day mi słowo, że przynaymniey spóyrzysz na tego, którego ia ci chciałem dać za Męża.

AMELIA.

Jakaż tego potrzeba?

PASTOR V.

Tak mi się podoba.

AMELIA.

Niechże tak będzie iak WPan żądasz. Ale pod kondycyą, żebyś mi pozwolił natychmiast odiechać.

PAS-

PASTOR V.

A to czemu?

AMELIA.

Ludzie iacyś nieznaiomi przychodzą do WPana?... Ja tak niespokoyna?...

PASTOR V.

Prawda i to.... Ale przechodzić mimo ich w tym Stanie? także nie bardzo dobrze. Lepieyby było żebyś tu została w którym Pokoiu: tylko to bieda, że ia pierwszy raz dopiero iestem w tym Pałacu, dla tego nie wiem nawet gdzie się obrócić?... A to widzę Gabinet.... weydź WPani do niego, a iak tych ludzi odprawię, będziesz sobie mogła podług woli swoiey postąpić.

AMELIA.

Bardzo dobrze! *odchodzi.* PA-

PASTOR V. Sam.

Jak się zmartwiła nieboga? Zal mi iey prawdziwie. Ale to nic nieznaczy: po tym umartwieniu, większe ukontentowanie; kiedy niespodzianie obaczy swoie chęci uiszczone. *Dzwoni Łukasz wchodzi*, niech wniydą ci ludzie! *Łukasz odchodzi* iuż widzę iż Amelia kocha Karola, prawdę mi mówiono w Kancellaryi. Obaczę tedy, czy iest on tak piękny, iak mi o nim powiadaią?... Ale co tam, czy piękny, czy nie piękny? aby serce miał piękne. Kocham moią Synowicę, że taki wybor uczyniła... A otoż nadchodzi.

SCENA

OSMA.

PASTOR, RYSZARD, REDER, KAROL XURY.

PAS-

PASTOR V.

A witam was kochani Przyiaciele! witam!.... Daruycie mi to, że musieliście tak długo czekać przed Pokoiem, miałem niektóre interessa. Ale cóż to: zdaie się że nie wszyscy iesteście? Mówiono mi móy Staruszku! że masz dwóch Synow?

RYSZARD.

Tak iest łaskawy Panie, dwóch. Tamten drugi zachorował: zostawiłem go u Dozorcy więzienia.

PASTOR VALLE.

A... to tam nie będzie miał wygody, Hey Łukasz! *Łukasz wchodzi.*

ŁUKASZ.

Jestem Panie!

PASTOR V.

Każ natychmiast założyć Karytę, i iedź do Dozorcy tuteyszego więzienia, znaydziesz tam chorego, co dziś zachorował. Weź go i przywież do tego Pałacu. Posłać zaraz po Felczera, i Murgrabia niech ci pokaże iaki wygodny Pokoy. to go tam złożysz, o usłudze, i wygodach potrzebnych dla niego, tym czasem, ty będziesz miał staranie.

ŁUKASZ.

Będę pamiętał, *chce odchodzić.*

PASTOR V.

Zatrzymayno się! *odprowadza na ſtronę* idąc, zaydź do Mikołaia Kamerdynera, i powiedź ażeby za pierwszym zadzwonieniem, wszedł tu z Zoną i Synem ...

ŁU-

)(

ŁUKASZ.

Dobrze Panie *odchodzi.*

RYSZARD.

. Panie! . . . Dobroczyńny Panie! nie stanie mi nawet wyrazow na podziękowanie ci, za twoią łaskę uczynioną dla nas. Ale widzisz Panie te łzy, które płyną z mych oczu wywiędłych, nie wyciska ich żadne umartwienie, ale wdzięczność którą ku tobie dobroczyńny Panie przeięty iestem.

PASTOR V.

Przyimuię tę twoią wdzięczność, i w tym momencie iuż iestem zapłaconym za to, co uczyniłem z powinności.

KAROL.

W datku iednak łaskawy Panie! przyimiy nasze posłuszeństwo. Gdyż

ia od dziś dnia; chcę raz na zawsze podlegać twoim rozkazom.

PASTOR V.

Krzywdę mi tym czynisz dobry młodziencze, czyż czyniąc to co powinność bliżniego każe kupowałem cię sobie, czy nie iednożby to było tobie, być przeniesionym z iedney niewoli do drugiey?

KAROL

Nie łaſkawy Panie, gdyż ia sądził bym się być nayszczęsliwszym, gdybym mogł być pod rządem tak dobrego Pana.

PASTOR V.

Zoſtawmy to na potym Ale... zapomniałem się spytać, ktory to ieſt syn?

RYBAK.

Jeſt to Panie Karol ten który to...

PASTOR V.

Przerywaiąc Wiem iuż wiem, ten co to był w Ameryce?

RYSZARD.

Ten sam Mości Dobrodzieiu

PASTOR V.

Tym lepiey bardzo sobie winszuię że na mnie, a nie na kogo innego; padł ten los, przysłużenia się tak dobremu Rodzenstwu.

XURY.

Y owszem Panie! my sobie powinniśmy winszować, że Bóg wszechmogący na ten czas zesłał ciebie do nas... oy gdyby nie ty Panie! nasz staruszek, może by zgnił w więzieniu, a ia z Panem...

PASTOR V.

Daymy iuż temu pokoy, No

Mospanie Karol! podam WPanu sposob, że mi możesz się wypłacić z tego uczynku, ieżeli zechcesz? *na stronie* dość iest udatny, godzien iest kochania ładney kobiety, ile ieszcze będąc tak cnotliwym, *głosno.* Słyszałeś WPan co mowiłem?

KAROL

Ach Panie! to pytanie zawstydza mnie cóżbym mogł Panu odmowić?

PASTOR. V.

Małey rzeczy żądam od WPana wiem że iestes kawaler, a zatym, przyimiesz z moich rąk żonkę dość ładną, i Bogatą...

KAROL.

Przelękniony. O Boże co za zdarzenie!

RYBAK

Cóż to się WPanu stało.

PAS-

PASTOR V.

Będęż miał nato odpowiedź?

KAROL.

Panie! ia od dzisieyszego dnia, nie miałem intencyi żenienia się.

PASTOR V.

Ale zdaie mi się że mi przyrzekłeś posłuszeństwo?

KAROL.

Prawda, winienem go Panu dotrzymać.

PASTOR V.

Widzę iż to czynisz nie z chęci, ale z przymusu; więc do twoiey to woli zostawiam, wziąc ią za żonę albo nie ale przynaymniey obaczyć ią musisz *odchodzi.*

KAROL.

O ia nieszczęsliwy, o Amelio!

RY-

RYBAK.

Porzuciłbyś WPan tę swoią Amelią która WPana w naypotrzebnieyszym razie porzuciła.

RYSZARD.

Ludwiku! te twoie grymasy martwić mnie zaczynaią.

KAROL.

O Boże! co ia to cierpię?

XURY.

Biedny móy Pan!

SCENA

DZIEWIĄTA

Ci sami. AMELIA, PASTOR V.

Wiem że się WPani samey u przykrzyło siedzieć w tym pokoiu, w kompanii będzie iey weseley nikogo

kogo tu więcey niemasz prócz przyiacioł.

RYBAK.

Amelia?...

XURY.

Lady?...

RYSZARD.

Taż to ma być iego żoną?

PASTOR V.

O toż kuzynko! ten kawaler miał być twoim mężem.

AMELIA.

Po cóż mi było wychodzić?

PASTOR V.

Ależ przynaymniey spoyrzycie iedno na drugiego!

AMELIA.

spogląda na Karola. O Boże!...

KAROL.

zdziwiony. Amelia?

PASTOR Y.

No, i cóż, niechcecie iedno drugiego?

AMELIA.

Pódź, pódź kochany, Karolu daruy, mi dzisieysze obeyście się z tobą gdyż to intryga zrobiła; ale musisz iuż być o wszyſtkim uwiadomiony.

KAROL.

O niczym niewiem i o niczym niechcę wiedzieć, tylko o tym że dziś ieſtem na naywyższym ſtopniu szczęścia.

AMELIA.

Jak to? alboż cię Kryſtyan nic o tym nie uwiadomił.

KAROL.

Kryſtyana od dnia wczorayszego nawet w oczy nie widziałem.

AMELIA.

Któż twego Oyca wyiął z więzienia?

ȥienia? ią myslę że nie kto inny tylko on, bom ią go wtym posłała.

RYBAK.

Biedny staruszek szkoda iego fatygi, gdyż Jegomość iego uprzedził.

AMELIA.

WPan mnie uprzedziłeś? Ach iakżem mu za to obligowana ale powiedzcie mi iak się to stało?

PASTOR.

Wolnieyszego czasu wszystko opowiem, gdyż teraz chcę aby dzień był skończony samym ukontentowaniem.

RYBAK.

Y Ja się na to zgadzam, gdyż i ia iak byłem świadkiem wszystkiego tak chcę być swiadkiem WPaństwa radości.

AMELIA.

Bardzo dobrze kochany Reder, bar-

bardzo dobrze... Mości Dobrodzieiu ten człowiek wart iest między nami znaydować się.

PASTOR. V.

Nie zabraniam mu tego; i owszem kontent będę z iego przytomności.

RYBAK.

Ja chłop między Panami, wolne żarty Pańskie dobrze mi będzie przy drzwiach.

PASTOR. V.

U mnie cnota uszlachca człowieka, ale mnieysza oto, do twoiey to woli zostawiam znaydować się gdzie ci się będzie podobało. A teraz, za twoią poczciwość, o którey iestem uwiadomiony, i którey sam iestem swiadkiem przyimiesz odemnie nadgrodę.

RYBAK.

Nadgrodę?.. wcale iey nie potrzebuię, iuż ia iestem dość tutay nadgro-

dzony, a ieżeli czego niedostaie, to mi ią tam *pokazuie w górę* Bóg nagotował.

PASTOR V.

Więc kiedy iey niechcesz przyiąć, to przynaymniey obaczysz. Co miało być twoią nadgrodą *odchodzi.*

RYBAK.

Obaczyć ha! to ieszcze pozwalam ale co przyiąć to przysięgam że nie przyimę.

SCENA

OSTATNIA.

Ci sami PASTOR VALLE prowadzi MIKOŁAIA y MAŁGORZATĘ. RUZIA *niesie na rękach* KAROLKA.

PASTOR V.

Otoż to miało być twoią nadgrodą.

RY-

R Y B A K.

O Boże! Co ia widzę? Mikołay moy kochany Syn?

M I K O Ł A Y.

Tak iest, ia to iestem, ia móy Oycze *pada do nóg Rybakowi, Rybak go całuie.* Pobłogosławcież moiey Zonie.

R Y B A K.

To twoia Zona? ta sliczna Kobieta twoia Zona? *sciska Małgorzatę* O Boże? serce mi się rozpływa z radości.

A M E L I A.

A to osobliwsze zdarzenie.

R Y B A K.

Boże was błogosław, Boże wam szczęść, Boże day ażebyście ze swoich dzieci doczekali tey roskoszy, iakiey ia z was doznaię w tym momencie.

RU-

RUŻIA.

A uściskayćież i Wnuka swego?

KAROLEK.

Móy Dziadulu?

RYBAK.

Ja twôy dziadulo?. Ty móy Wnuk? o Boże co się zemną dzieie! *całuie Karolka.*

PASTOR V.

Z radości zmysły mi odchodzą.

RYSZARD.

Poiąć tego nie mogę, co to za Pan?

XURY.

Y w Niebie większey radości mieć nie można.

RYBAK.

W Niebie?... w Niebie... *bie-*

ży

ży do Pastora i pada mu do nóg, tak ty iesteś zesłanym z Nieba do pocieszenia utrapionych.

P A S T O R V.

Kto zaś widział tak się upadlać, żeby czołgać się u nog podobnego sobie stworzenia.

R Y B A K.

Nie to mnie nic nie upadla, nie przepraszam cię za żadną zbrodnię przeciwko tobie popełnioną, nie proszę cię o nic, bobym się tym upodlił, ale padam ci do nóg iako Aniołowi przynoszącemu pokoy i radość. *Idzie do Mikołaia*, o moie kochane dzieci!

P A S T O R V.

Ale iak to będzie? mówiłeś że nie przyimiesz tey nadgrody.

R Y B A K.

Tak mówiłem, i dotrzymam słowa

wa, niech oni przy tobie zostaną. Ale i ia od nich nie odstąpię, niechay sobie móy Plac i chałupę kto chce to bierze. Ruzia moia może być przy bracie, a ia zdam się choć bramy pilnować.

AMELIA.

Ja twoiey Córki losem chcę się zatrudniać.

PASTOR V.

A ty móy staruszku masz u mnie aż do śmierci łaskawy chleb, za chałupę i plac ia ci zapłacę, właśnie mi podobnego mieysca potrzeba do wystawienia takiego szpitalu, iaki iest w moiey Parafii, zezwalaszże na to?

RYBAK.

Czyń Panie co ci się podóba?

PASTOR V.

Teraz zaś idźmy dzień kończyć wesoło, tylko proszę ażeby mi o dzi-

siey-

sieyszym zdarzeniu nic nie wspomina-no. io proszę z sobą na kawę, i was stkich moi przyiaciele *odchodzą scy.*

U R Y *sam.*

Mó ! dwóch poznałem Pastorow, lką między niemi upatrzyłem ę. Jeden pała, chęcią roziuszony grysow wydarcia cudzey włas i gnębienia niewinnych. Dr własną szkodą opłaca długi i wsp podupadłych. O iak te dwa ucz w owym dniu ostatnim będą s !.. Będziem na to wszyscy patr teraz gdybym mógł u moiey Zak skrzydeł, obleciałbym ca głoszenia cnoty Pastora Valle i A ford, a dla oczernienia postępk ora Sangloz, ażeby przed nim d morowym powietrzem wszyscy kali.

KONIEC.